

Michael  
Cunningham



*i inne baśnie*

Michael Cunningham

DZIKI  
ŁABĘDŹ

==  
*i inne baśnie*

Z ILUSTRACJAMI YUKO SHIMIZU

przełożył Jerzy Kozłowski



DOM WYDAWNICZY REBIS

Michael Cunningham

W REBISIE:

*Dom na krańcu świata*

*Dziki łabędź i inne baśnie*

*Godziny*

*Królowa śniegu*

*Nim zapadnie noc*

*Wyjątkowe czasy*

*Z ciała i z duszy*



# ROZ.CZAROWANIE

Większość z nas może się czuć bezpieczna. Jeśli nie jesteś delirycznym snem wyśnionym przez bogów, jeśli twoja uroda nie drażni gwiazdnych konstelacji, nikt nie rzuci na ciebie zaklęcia. Nikomu nie będzie się chciało zamieniać cię w bestię ani usypiać na sto lat. Zły duch pod postacią wróżki nie knuje, żeby zaproponować ci spełnienie trzech życzeń z ukrytą w nich jak żyletka w cieście zgubą.

Niezbyt urodziwe panny – te, które najlepiej oglądać przy blasku świec, ściśnięte gorsetami i uróżowane – nie mają się czym martwić. Pulchni i pryszczaci następcy tronu, synowie, którzy dręczą podwładnych i w każdej grze muszą koniecznie być górą, są na klątwy i złe uroki odporni. Dziewice gorszego sortu nie prowokują siłą zniszczenia, nieopierzone młokosy nie wzbudzają gniewu w demonach i chochlikach.

Większość z nas niezawodnie ściągnie sobie na głowę kłopoty sama, bez niczyjej pomocy. Mściwe istoty pragną jedynie unicestwić te najrzadsze okazy – tych, co jakimś cudem otrzymali od losu nie tylko bogactwa i fanfary, lecz także urodę zadziwiającą ptaki na drzewach, urodę połączoną z gracją, szczodrością i urokiem, które wydają się u nich tak naturalne, jak gdyby były powszechnymi ludzkimi przymiotami.

Któż by nie chciał takim nabruździć? Kto z nas w głębi duszy, w jej bardziej wstydlivych zakamarkach, nie rozumie duchów i czarnoksiężników czujących się w obowiązku prześladować owe ludzkie mutacje, które bóstwa – z myślą wyłącznie

o własnej rozrywce – zesłały najwyraźniej tylko po to, żeby wszyscy inni czuli się jeszcze bardziej samotni, nieatrakcyjni, dziwaczeni, chwiejni i winni, niż już są?

Jeśli jeden czy drugi chodzący ideał można zdyskredytować, wykoślawić tudzież skazać na przemierzanie Ziemi w żelaznych butkach, reszta z nas od razu poczuje, że żyje w mniej irytującym świecie, świecie o bardziej racjonalnych oczekiwaniach, świecie, w którym określeniami takimi jak „piękno” lub „moc” można obdarzyć liczniejsze grono kobiet i mężczyzn. Świecie, gdzie komplementom nie będzie towarzyszyła domniemana chęć przymknięcia oka na kilka walorów nie do końca będących walorami, na odrobinę „niezbyt”.

Zapytajcie samych siebie, proszę. Gdybyście mogli rzucić zaklęcie na niedorzecznie przystojnego sportowca i jego ukochaną, modelkę reklamującą bieliznę bądź na małżeństwo gwiazd Hollywoodu, których połączone DNA niechybnie doprowadzi do powstania zupełnie nowego gatunku... nie zrobilibyście tego? Czy nie działa wam na nerwy, choćby troszeczkę, ta aura szczęśliwości i dobrobytu, nieograniczonych szans? Nie wkurza was od czasu do czasu?

Jeśli nie, niech wam Bóg błogosławi.

Ale jeśli tak, istnieją formuły i prastare piosnki, są słowa wypowiedane o północy podczas pewnych faz Księżyca, przy przepastnych jeziorach ukrytych głęboko w lesie lub w sekretnych podziemnych komnatach albo też w każdym miejscu, gdzie schodzą się trzy drogi.

Nauczyć się tych zaklęć jest zadziwiająco łatwo.

# DZIKI ŁABĘDŹ

**T**u w mieście mieszka królewicz, którego lewe ramię wygląda jak ręka każdego innego mężczyzny, prawe zaś jest łabędzim skrzydłem.

On i jego jedenastu braci zostali zaklęci w łabędzie przez nieprzychylną im macochę – ani myślała wychowywać dwunastu synów poprzedniej żony swego męża (której blade, zawstydzone oblicze spoglądało szkliście z licznych portretów i którą niekończące się cięższe posłały do grobu, nim dożyła czterdziestki). Dwunastu chełpliwych rozrabiaków, dwanaście delikatnych i pazernych ego, dwanaście procesów dojrzewania – zrzuconych na barki nowej królowej jako część rutynowych obowiązków wynikających z bycia monarchinią. Czy możemy ją winić? Naprawdę?

Zaczarowała chłopców w łabędzie i kazała im odlecieć.

I po problemie.

Oszczędziła trzynaste dziecko, najmłodsze, było bowiem dziewczynką, chociaż mrzonki macochy o wzajemnych zwierzeniach i całodziennych wyprawach na zakupy dość szybko się rozwiały. No ale czy można się dziwić dziewczynce, że była opryskliwa i gburowata wobec kobiety, która zamieniła jej braci w ptaki? I tak – po okresie cierpliwego pobłażania wobec jej dąsów, po kilku kupionych, ale nigdy niewłożonych balowych sukniach – królowa dała za wygraną. Księżniczka od tej pory mieszkała w zamku niczym uboga krewna, miała wikt i opierunek, była tolerowana, lecz niekochana.

Dwunastka książąt-łabędzi mieszkała na skale daleko na morzu i mogła wrócić do swojego królestwa tylko raz w roku na jeden dzień. Wizyta ta była wyczekiwana

z niepokojem i krępująca dla króla i jego małżonki. Trudno się było radować dniem spędzonym w gronie dwunastu dawniej niezłomnych i dzielnych synów, którzy podczas tego dorocznego pojedynczego interludium mogli co najwyżej pokrzykiwać, stroszyć pióra i dziobać okruchy, łopocząc skrzydłami na zamkowym dziedzińcu. Król starał się, jak mógł, udawać radość na ich widok. Królowa zawsze się wymawiała napadem migreny.

Mijały lata. I wtem... Nareszcie...

W trakcie corocznych odwiedzin książąt-łabędzi ich młodsza siostra odczarowała braci, dowiedziawszy się od żebraczki, którą spotkała w lesie podczas zbierania jagód, że jedynym znanym remedium na łabędzi czar jest rycerska koszulka uszyta z pokrzyw.





Jedno ale. Dziewczyna była zmuszona wypłatać szaty po kryjomu, jako że pokrzywy na czarodziejską materię (tak przynajmniej twierdziła żebraczka) należało zbierać po zmroku i tylko z cmentarzy. Gdyby przyłapano królową po północy na zrywaniu pokrzyw z grobów, jej macocha z pewnością oskarżyłaby ją o czary i kazała spalić na stosie razem z całym jej urobkiem. Dziewczyna nie była głupia i wiedziała, że nie może liczyć na ojca, który wtedy już po cichu pragnął (do czego nie przyznawał się nawet przed samym sobą) uwolnić się od wszystkich swoich dzieci.

Co noc księżniczka wykradała się na pobliski cmentarz zrywać pokrzywy i całe dnie tkła z nich czarodziejską materię. To, że nikt w zamku nie zwracał na nią większej uwagi, okazało się błogosławieństwem.

Skończyła już prawie dwanaście szat, gdy miejscowy arcybiskup (którego jakoś nikt nie pytał, co robi na cmentarzu o tak późnej porze) zauważył księżniczkę, jak zrywa pokrzywy, a potem na nią doniósł. Królowa czuła się utwierdzona w swoich podejrzaniach (ta dziewczyna nie podzieliła się z nią ani jednym dziewiczym sekretem, symulowała całkowitą obojętność wobec trzewików tak wyjątkowych, że nadawałyby się do eksponowania w muzeach). Król, jak można się było spodziewać, stanął po stronie małżonki, licząc na to, że będzie postrzegany jako władca silny i pozbawiony sentymentów, król z prawdziwego zdarzenia, monarcha oddany ochronie swego ludu przed mrocznymi siłami, oddany do tego stopnia, że zgodzi się na egzekucję własnej córki, jeśli zapewni to bezpieczeństwo jego poddanym, wolność od klątw i lęków przed demonicznymi przemianami.

I gdy już miano wprowadzić królową na stos, z zamglonego nieba sfrunęli jej łąbodzi bracia i siostra narzuciła na nich utkane przez siebie szaty. Nagle, przy wtórze głośnych trzasków, w roziskrzonych wirach powietrza na dziedzińcu stanęło dwunastu roślących młodzieńców, nagich pod pokrzywowymi koszulkami, z zaledwie kilkoma białymi piórami unoszącymi się gdzieś dookoła.

Ściśle biorąc...

...całkowicie odczarowanych książąt było jedenastu, ten dwunasty bowiem został przywrócony do dawnej postaci oprócz jednego jedyne go detalu – prawe ramię nadal było łąbodziem skrzydłem, gdyż siostra, nie zdążywszy dokończyć swego

działa, musiała zostawić jedną koszulkę bez rękawa.

Wydawało się, że to niewielka cena za powrót do ludzkiej postaci.

Wkrótce jedenastu młodzieńców pożeniło się, doczekało się dzieci, wstąpiło do różnych organizacji i wyprawiało przyjęcia, które zachwycały wszystkich, aż po myszy w pałacowych murach. Unieszkodliwiona macocha, tak przytłaczająco zdominowana, tak niemaczyna, zamknęła się w klasztorze, co skłoniło króla do sfabrykowania wspomnień o niewzruszonej lojalności wobec zaczarowanych synów i bezradności wobec żony sekutnicy, wersji, w którą chłopcy skwapliwie uwierzyli.

Koniec bajki. „Długo i szczęśliwie” spadło na wszystkich jak ostrze gilotyny.

Prawie na wszystkich.

Dwunasty brat, ten z łabędzim skrzydłem, nie miał łatwego życia. Jego ojciec, wujowie i ciotki, liczni arystokraci i arystokratki nie byli zadowoleni, że im się przypomina o zetknięciu ze złowrogimi żywiołami lub o ich niepodsytej sceptycyzmem chęci stracenia na stosie księżniczki, gdy ta próbowała ratować rodzeństwo.

Po królewskim dworze krążyły żarty o łabędzioskrzydłym księciu, które jego jedenastu nieskazitelnie uformowanych braci chętnie powtarzało, przekonując, że to tylko niewinna zabawa. Dzieci jedenastu braci, mali bratankowie i bratanice, chowały się za każdym razem, gdy dwunasty syn zjawiał się w komnacie, i chichotały zza szezlongów i gobelinów. Bratowe wielokrotnie prosiły, żeby starał się zachować spokój podczas wieczerzy (miał skłonność do wymachiwania skrzydłem, gdy opowiadał dowcip, i raz nawet zmiotł cały sarni udziec, który wylądował na przeciwległej ścianie). Pałacowe koty zwykle prychały i dawały drapaka, gdy tylko się zbliżał.

W końcu spakował kilka rzeczy i wyruszył w świat. Okazało się jednak, że w świecie wcale nie było mu łatwiej niż w pałacu. Mógł się najmować najwyżej do najprostszych prac. Nie miał żadnych poszukiwanych umiejętności (tak to bywa z królewiczami) ani dwóch sprawnych rąk. Od czasu do czasu okazywała nim zainteresowanie jakaś kobieta, ale zawsze wychodziło na jaw, że albo ulegała chwilowo jakiejś fantazji zainspirowanej mitem o Ledzie, albo – co gorsza – miała

nadzieję, że jej miłość przywróci mu drugie ramię. Żadna z tych znajomości nie trwała długo. Skrzydło przeszkadzało mu w metrze, nie mieściło się w taksówce. Bez przerwy trzeba było sprawdzać, czy nie załęgły się w nim wszy. I jeśli nie myło się go codziennie, pióro po piórze, kremowa biel francuskich tulipanów przechodziła w przygnębiającą szarość kłębków kurzu.

Żył ze swoim skrzydłem tak, jak ktoś inny mógłby żyć z psem przygarniętym ze schroniska: kochanym, ale neurotycznym i niewyuczalnym. Kochał swoje skrzydło – nic nie mógł na to poradzić. Uważał je też za coś nieznośnego, uroczego, irytującego, dokuczliwego, wzruszającego. Wstydził się go nie tylko dlatego, że nie potrafił go lepiej wyczyścić i że przechodzenie przez bramki lub drzwi nie stało się z czasem mniej kłopotliwe, lecz także dlatego, że przestał dostrzegać w nim swój atut. A przecież nietrudno było sobie wmówić, że nim jest. Mógł sobie wyobrazić, że się sprzedaje jako intrygującą hybrydę, młodego boga, dumnego aż po seksowną arogancję ze swej anatomicznej niezwykłości: dziewięćdziesiąt procent kwitnącego, muskularnego ciała człowieka i dziesięć procent cudownego, anielskiego skrzydła w oślepiającej bieli.

*Kochana, te pióra swym łaskotaniem sprawią, że dolecisz prawie do nieba, a ten tutaj męski narząd pozwoli ci pokonać resztę drogi.*

Gdzie, zadawał sobie pytanie, jest ta jego wersja? Jakiż to deficyt śmiałości sprawia, że z roku na rok staje się coraz bardziej brzuchaty, przygarbiony, jakby przeproszał za to, że żyje? Dlaczego nie potrafi zadbać o kondycję, przybrać odpowiedniej pozy, wparadować nonszalancko do klubu w czarnym kombinezonie z jaszczurczej skóry z jednym odciętym rękawem?

*Zgadza się, skarbie, to jest skrzydło. Jestem po części aniołem, ale wierz mi, reszta to czysty szatan.*

Najwyraźniej tak nie umiał. Równie dobrze mógł spróbować przebiec milę w trzy minuty lub zostać wirtuozem skrzypiec.

Wciąż jest wśród nas. Jakoś zarabia na czynsz. Jeśli znajduje miłość, korzysta z niej. W późnym wieku średnim stał się bardziej ironiczny, ale też emanuje pogodą ducha charakterystyczną dla zahartowanych i doświadczonych przez los. Wyostrzył się w nim dowcip starego wyjadacza. Uzmysłowił sobie, że może albo popaść

w rozgoryczenie, albo stać się świętym idiotą, który zmadrał. Lepiej – mniej żenująco – być tym, który rozumie, że z niego żartują, i wybucha śmiechem pierwszy, gdy milknie puenta.

Większość braci w pałacu ożeniła się po raz drugi lub nawet trzeci. Ich dzieci, rozpieszczane i niańczone od maleńkości, potrafią być nieznośne. Książęta całymi dniami celują złotymi kulami do srebrnych pucharów albo nadziewają na szable ćmy. Wieczorami oglądają występy błaznów, akrobatów i żonglerów.

Dwunastego brata wieczorem zazwyczaj można zastać w jednym z barów na skraju miasta, tych, których klientelą są ludzie jedynie częściowo odczarowani albo w ogóle nieodczarowani. Bywa tam trzystuletnia kobieta, która nie wyraziła się dość jasno podczas rozmowy ze złotą rybką, a potem do pustego nagle morza krzyknęła: „Nie, zaczekaj, miałam na myśli wieczne życie i *młodość!*”. Bywa i żabi król w koronie, który najwyraźniej nie jest w stanie odczynić zaklęcia, nie mogąc prawdziwie zakochać się w żadnej z kobiet skłonnych go pocałować. Bywa też książę, który całymi latami usiłował odnaleźć miejsce pobytu uspiionej królowej czekającej na jego reanimacyjny pocałunek, choć ostatnio mniej czasu poświęca wędrówkom po górach i dolinach, więcej zaś wizytom w nocnych barach, gdzie snuje opowieści o swej nieuchwytniej pannie.

W takich lokalach mężczyzna z jednym łabędzim skrzydłem uważany jest za szczęściarza.

Jego życie, przekonuje siebie, nie jest wcale takie najgorsze. Może to wystarczy. Może tylko z tym trzeba wiązać nadzieje – żeby po prostu nie było gorzej.

W niektóre noce najpierw dobrze podcięty dowleka się do domu (takich nocy jest wiele), pokonuje pięć kondygnacji schodów do swojego mieszkania, włącza telewizor i zasypia na sofie, a po kilku godzinach budzi się, gdy poranne światło rozjaśnia listewki żaluzji, i mając za jedyne towarzystwo kaca, uzmysławia sobie, że okrył pierś i brzuch skrzydłem – a raczej (co przecież niemożliwe, a jednak...), że skrzydło samo się nad nim rozpostarło, z własnej woli, koc i towarzysz w jednym, oddany imigrant z dalekiego kraju, tak samo budzący litość, kochający i kłopotliwy, jak byłby ów kundelek ze schroniska. Rzecz uciążliwie znajoma. Jego kula u nogi, jego kompan.

# BABA JAGA

**T**woim zabójcą jest samotność. Może dlatego, że spodziewałaś się, iż upadek przyjdzie w bardziej majestatycznej i romantycznej formie.

Zadawałaś się, jak mawiała twoja matka, z lekkoduchami. Wcześniej odrzuciłaś dziewczęce warkoczyki i w barach w obcych miejscach udawałaś pełnoletnią, zachęcając tamtejszych facetów, aby wtykali najpierw palce, a potem inne części ciała do tej szczeliny, którą akurat byłaś im skłonna podstawić w mrocznych zaułkach albo na skrawku zaniedbanej trawy udającej park.

Zaliczyłaś trzech mężów i po każdym z tych małżeństw myślałaś, że sięgnęłaś dna, aby się niebawem przekonać – jak żartem zdradzałaś koleżankom – iż winda miłości zjeżdża jeszcze niżej. Na męża numer cztery już się nie zdecydowałaś, bo wtedy nawet ty dostrzegałaś w jego planach na przyszłość ziarno defetyzmu. Wyławiałaś uchem mamrotane, zamarynowane w dżinie przyszłe oskarżenia.

Gdy odesłałaś z kwitkiem czwartego fatyganta, rozpoczęłaś karierę na polu frywolnej zdzirowatości. Miałaś na karku czwarty krzyżyk. Wszystkie koleżanki powydawały się już za niezgorszych facetów i stopniowo, z czasem, znajdowały coraz więcej wymówek, żeby się z tobą nie spotkać na drinka (*Przepraszam cię, ale dzieciaki mnie wykańczają. Bardzo chętnie, ale wiesz, jak reaguje mój stary, jeśli wracam do domu wstawiona*).

Po czterdziestce, a potem po pięćdziesiątce odbierałaś to jako osobiste zwycięstwo. Nie musiałaś zmiatać chropowatych podłóg, gdy twój mąż siedzi i pomstuje na ponury los, jaki mu zgotowałaś, na pracę, z której ledwo możecie

opłacić rachunki za światło i ogrzewanie; nie przyciskałaś piątego oeska do piersi, piersi, które coraz mniej chętnie dawały więcej niż naparstek mleka. Twoim sposobem na więdnące ciało było wciskanie go w coraz ciaśniejsze sukienki, aż w końcu, gdy na horyzoncie majaczyła sześćdziesiątka, zaczęłaś odnosić wrażenie, jak gdyby to same sukienki utrzymywały cię w pozycji pionowej na barowych stołkach, że gdyby je rozcięto, rozlałabyś się na podłogę i leżała tam bezradnie, różowo-biała kałuża nadwerężonego ciała.

Pozwoliłaś, by zgubiony ząb pozostał czarnym kwadracikiem w twoim znaczącym uśmiechu. Farbowałaś włosy: cyrkowy pomarańcz, później kasztan tak głęboki, że wpadał w fiolet, a po nim rozgrzany do białości blond.

Nie miałaś złudzeń. Wierzyłaś, że ich nie masz. Myślałaś: *Dom Wschodzącego Słońca* – świadoma, kurewska końcówka życia wciąż przetykana tu i tam strasami. Wyobrażałaś sobie, w dalszej perspektywie, przewrotnie cudowną, lubieżną egzystencję w domowych pieleszach; reputację wariatki wśród świętoszków, którzy czcili banalne cnoty, jak gdyby te były drogą do chwały. Spodziewałaś się późnych wizyt miejscowych młokosów (tak, myślałaś o synach swoich koleżanek) w poszukiwaniu udzielanych przez ciebie nauk (*Przyłóż palec tu, o tutaj, i delikatnie uszczypnij, bardzo delikatnie, obiecuję ci, że będzie zachwycona*); chłopców, którzy będą wdzięczni za te noce ofiarowanych im przez ciebie ekstatycznych uniesień i – co jeszcze bardziej wzruszające – za te ranki, kiedy po przebudzeniu z twarzą wtuloną w twoje piersi, speszeni, zmieszani, będą się spieszyć do wyjścia, do czego ty byś tylko zachęcała (odrzucałabyś nawet cień własnej desperacji, nigdy nie namawiałabyś ich, żeby zostali dłużej). W tych krótkich chwilach, zanim wyskoczą z łóżka w poszukiwaniu skarpetek i bielizny, zapewniałabyś ich, że sprawili się znakomicie, że byli wojownikami – że są darem, z którego kiedyś ucieszy się jakaś dziewczyna, wdzięczna po grób za to, czego ich nauczyłaś w ciągu tej jednej nocy.

Ci chłopcy uśmiechaliby się nerwowo w samozachwycie, chwiejnie wciągając na siebie ubranie. Rozpoznają słowa prawdy, usłyszawszy je. Będą rozumieli: zaludniasz miasteczko odpowiednimi kandydatami na mężów. Jesteś boginią (pomniejszą boginią, ale mimo wszystko) cielesnej świadomości, dokładasz starań, ażeby okoliczna młodzież płci męskiej wiedziała nie tylko, gdzie jest łechtaczka, ale

i co z nią począć. Dbasz *in absentia* o rzeszę dziewcząt (może gdy kilka z nich się o tym dowie, będą od czasu do czasu wpadały z wizytą?), które nocne igraszki z mężem uznają za stosowną rekompensatę po całym dniu sprzątnięcia i prasowania.

Ta przyszłość jednak, ta konkretna starość nadejść nie chciała.

Miało to związek – najprawdopodobniej – z wypadkiem (strzelił gaźnik w samochodzie, przewrócił się koń), po którym zaczęłaś utykać. Miało to związek z maleńkim mieszkaniem nad pralnią (kto się spodziewał, że czynsze pójdą aż tak w górę?), gdzie rozpylane przez ciebie obłoczki perfum zdawały się tylko podkreślać smród mysich bobków i chemikaliów z dołu. Który chłopak miałby ochotę zejść do takiej nory?

Miało to także związek z zaskakującą nieśmiałością młodych; statusem zagrożonego gatunku (tak ci się przynajmniej wydawało) nieustraszonych książątek zapamiętanych z lat młodości – chłopców (teraz już starszych panów, o ile w ogóle pozostawali wśród żywych) pijanych pewnością siebie, puszających się z urzekającym brakiem wprawy. Zastąpiło ich to pokolenie zatrwajająco dobrze ułożonych mężczyzn-dzieci, którym widocznie wystarczało, że źródłem całej ich wiedzy o kobietach są dziewczęta mające tak samo marne pojęcie o swym ciele jak pieszczący je chłopcy.

W końcu, gdy wreszcie przekonałaś samą siebie, że siedemdziesiątka to wciąż młody wiek, kupiłaś plac. Dość daleko od miasteczka – bo i kto w tych czasach mógł sobie pozwolić nawet na przedmieścia? Gdy umowa została podpisana, stanęłaś (wsparta na lasce – wciąż nie mogąc uwierzyć, że z nią chodzisz) na swoim skromnym spłachetku gołej ziemi otoczonej lasem i zdecydowałaś, że twój dom powstanie ze słodyczy.

Zrobiłaś rozeznanie. W istocie możliwe było wyprodukowanie odpornych na deszcz cegieł z cukru, gliceryny, mąki kukurydzianej i kilku trucizn, o których lepiej nie wspominać. Pierniki wzmocnione odpowiednią domieszką pyłu cementowego nadawały się na dach.

Reszta oczywiście miała wymagać ciągłej konserwacji. Okna z cukrowej tafli mogły przetrwać jedną zimę, jeśli w ogóle; co wiosną trzeba było sprowadzać nowe lukrowe nadproża i parapety, nawet jeśli do słodkiej masy dodawano klej. Kafelki



z lizaków, specjalnie zamówione cukierkowe laski służące za poręczę i barierki nie kruszyły się, ale w letnim upale płowiały i trzeba je było wymieniać. Czy jest coś, co przynębia bardziej niż zestarzałe słodycze?

Dom jednak był uroczy na swój zwariowany i przepysznie brawurowy sposób, tym bardziej że lśnił krzykliwymi kolorami i roztaczał słodkie, piernikowe wonie na ocienionej polanie z dala od najmniej nawet uczęszczanych dróg.

I tam czekałaś.

Spodziewałaś się po miejscowej młodzieży – prawdopodobnie się przeliczyłaś – że mimo ogólnego przywiązania do przyzwoitości ma w sobie więcej ducha przygody. Gdzie się podziwiali uroczy miłośnicy pikników? Gdzie się podziwiałały bandy chłopaków szukających kryjówki, w której mogliby (za twoją zgodą) poić się whisky, bo tylko wtedy potrafili sobie w pełni wyobrazić siebie? Gdzie się podziwiali młodzi kochankowie poszukujący leśnych zakątków, które mogli uznać za swoje?

Czas nie mijał szybko. Nie miałaś wiele do roboty. Łapałaś się na tym, że wymieniasz lukier i lizaki częściej, niż to było konieczne, po prostu dlatego że potrzebowałaś jakiegoś zajęcia i zastanawiałaś się (co ocierało się o szaleństwo, ale nie żałowałaś w sobie tej krztyny obłądu), czy wersja poprawiona – intensywniejszy zapach ciasteczek, cukierki o barwniejszych paskach i zawijasach od innego producenta – może coś tu zmienić.

Gdy miała ci stuknąć osiemdziesiątka, pojawili się twoi pierwsi i jedyni goście, niezupełnie tacy, jakich się spodziewałaś. Wyglądali obiecująco, gdy trzepocząc ze zdziwieniem rzęsami, wyszli spomiędzy drzew na małą polanę, na której stał twój dom.

Byli seksowni, nie tylko chłopiec, ale i dziewczyna, ze swoimi wygłodniałymi, lisimi twarzami – tą podszytą głodem czujnością, jaką się czasem widuje u nastolatków, którzy dostali już od życia w kość. Mieli kolczyki i tatuaże. I – co jeszcze bardziej satysfakcjonujące – umierali z głodu. Chłopakowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że lukier, który garściami wpychał sobie do ust, jest przypuszczalnie tak lepki za sprawą kleju. Dziewczyna uwodzicielsko ssała (z przerysowaną lubieżnością dziewcząt nauczonych pornografią, nie doświadczeniem) szkarłatny

lizak.



Z lukrem i klejem w ustach chłopak wymamrotał:

– Hej, babciu, jak leci?

Dziewczyna tylko się do niego uśmiechnęła, z językiem przyciśniętym do lizaka, jak gdyby jej towarzysz był inteligentny i odurzająco niebezpieczny, jak gdyby był buntownikiem i bohaterem.

I czego właściwie się spodziewałaś po tych młodych psychopatach, tych ofiarach przemocy, gdy już zjedli połowę twojego domu bez najmniejszego wyrazu zachwyty czy choćby prostej uprzejmości? Zdziwiłaś się, że splądrowali twój dom, przeżerając się przez kolejne pokoje, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zadrwić ze znalezionej biżuterii (ona, z twoimi perłami na szyi: „Mama ma takie, jak ci się podobają na mnie?”) lub wazonu, który odziedziczyłaś po babci, a do którego chłopak odlewał się długo i hałaśliwie. Myślałaś, że nie poskarżą się w końcu, że masz tu do jedzenia same węglowodany, a oni potrzebują też trochę białka?

Czy nie poczułaś ulgi, może tylko nieznaczej, gdy cię podnieśli (ważyłaś już wtedy prawie tyle co nic) i wepchnęli do pieca? I czy kiedy zatrasnęły się za tobą drzwiczki, nie wydało ci się to niespodziewane, ale też w jakiś sposób właściwe, i czy nie poczułaś wtedy satysfakcji jak w chwili, gdy wreszcie wypełnia się przeznaczenie?

# PIĘKNY JAŚ

Nie mówimy tu o bystrzaku. Nie jest to chłopak, co do którego możemy mieć pewność, że nie zapomni zabrać matki do szpitala na chemioterapię albo zamknąć okna w czasie ulewy.

Takiemu lepiej nie zlecać sprzedaży krowy, gdy w domu zaczyna brakować pieniędzy, a krowa to ostatnia wartościowa rzecz, jaką mają.

Mówimy tu o chłopaku, który, nie pokonawszy nawet połowy drogi na targ z ostatnią sztuką matczynego dobytku, sprzedaje krowę nieznanemu za garść fasoli. Człek ów twierdzi, że to czarodziejska fasola, i Jaś najwyraźniej wierzy mu na słowo. Nie dopytuje nawet, na czym dokładnie polega jej czarodziejskość. Może ziarna zamienią się w siedem ślicznych żonek dla niego. A może w siedem śmiertelnych grzechów i do końca życia będą mu brzęczeć koło głowy jak muchy.

Jasia nie dręczą wątpliwości. Jaś nigdy nie był mocny w zadawaniu pytań. Jaś to chłopak, który mówi: *Stary, czarodziejska fasola, serio? Zajebicie!*

Chłopaków takich jak Jaś jest na pęczki. Chłopaków, którzy wolą niedorzeczną obietnicę, loterię, i tkwią w przekonaniu, że są urodzonymi zwycięzcami. Mają świetny pomysł na scenariusz filmowy – potrzebują tylko, wiecie, kogoś, kto by im go napisał. Na imprezach u przyjaciół puszczaają muzykę, wierząc, że wcześniej czy później napatoczy się jakiś właściciel klubu i zatrudni ich, żeby didżejowali dla tłumów. Nie kończą zawodówki, bo widzą przecież po jednym semestrze lub dwóch, że to prosta droga do frajerstwa – lepiej mieszkać u rodziców w swoim dziecięcym pokoju, chwilowo bezrobotni, aż nadejdą sława i pieniądze.

Czy matka Jasia denerwuje się, gdy ten wmaszerowuje do domu, wyciąga rękę i pokazuje jej, co dostał za krowę? Owszem.

*Co ja zrobiłam nie tak, jak to się stało, że pomimo tylu poświęceń, tych wszystkich kolacji, które upichciłam z niczego, sama prawie niczego nie biorąc do ust, jak to się stało, że wychowałam cię na kogoś tak lekkomyślnego i niegodnego zaufania, możesz mi to z łaski swojej wyjaśnić?*

Czy Jaś jest zawiedziony ubóstwem wyobraźni swojej matki, jej brakiem zimnej krwi w obliczu życiowej szansy, jej niezachwianą wiarą w rozsądną oszczędność i unikanie drogich marek, choć widać gołym okiem, do czego ją to doprowadziło? Owszem.

*Mamo, weź no rozejrzyj się po tej chałupie. Nie sądzisz, że oszczędność to rodzaj śmierci? Odpowiedz sobie sama. Dlaczego, odkąd umarł tata, nikt nas nie odwiedza? Nawet Henio Głodomór i Przygłupek Wiluś.*

Jaś nie chce ani nie musi wysłuchiwać jej odpowiedzi, choć ta rozbrzmiewa niemo w głowie matki.

*Mam tu pięknego syna, widzę silne, młode plecy pochylone co rano nad miednicą. Po co mi żółte zęby Henia albo zgarbione ciało Wilusia?*

Tak czy owak, jej syn sprzedał krowę za garść fasoli. Matka Jasia wyrzuca ziarna przez okno i posyła syna do łóżka bez kolacji.

Baśnie to zazwyczaj opowiadki z morałem. W bardziej ponurej wersji powyższej historii matka i syn umierają z głodu.

Morał byłby wówczas następujący: Matki, postarajcie się realistycznie oceniać swoich zidiociałych synów bez względu na to, jak czarujące są ich chytne uśmiešky, jak bardzo raduje was widok ich złocistych kędziorów. Jeśli będziecie ich idealizować, jeśli będziecie upierać się przy zaletach, których ewidentnie nie mają, jeśli będziecie trwały w swym ślepym pragnieniu posiadania mądrego dziecka, takiego, w którym znajdziecie oparcie na stare lata... nie zdziwcie się, gdy po upadku na podłogę w łazience spędzicie tam całą noc, bo wasz synalek pije do świtu z kolegami.

*Jaś i magiczna fasola* kończy się jednak inaczej.

Wniosek, który płynie z tej konkretnej baśni, jest następujący: Ufaj nieznanym. Nie trać wiary w magię.

W *Jasiu i magicznej fasoli* nieznanemu nie kłamał. Rano okno pokoju Jasia przysłania bujna zieleń. Chłopak wygląda na liście wielkości patelni i łądygę grubą jak dębowy pień. Gdy zadziera głowę, widzi, że roślina jest tak wysoka, aż niknie w chmurach.

Właśnie. Zainwestuj w place na pustyni, gdzie niedługo z pewnością wybudują autostradę. Zaangażuj się w rewolucyjną nową kurację odmładzającą opracowaną przez twojego wujka. Za połowę pieniędzy na jedzenie co tydzień graj w totolotka.

Jaś, jak to Jaś, nie zadaje pytań ani też się nie zastanawia, czy wspięcie się po łądydze fasoli to najlepszy z możliwych pomysłów.

Wierzchołek łądygi sięga ponad warstwę chmur i oto chłopak staje przed zamkiem olbrzyma zbudowanym na szczególnie puszystym wzniesieniu z obłoków. Zamek jest olśniewająco biały i poddaje się leciuteńkiemu drżeniu, jak gdyby powstał ze skoncentrowanej mgły, jak gdyby porządna ulewa mogła go zamienić w wielką perłową kałużę.

Jaś, jak to Jaś, podchodzi prosto do gigantycznych wrót w kolorze śniegu. Bo przecież kto by się nie ucieszył na jego widok?

Zanim jednak puka, słyszy, że ktoś go przywołuje głosem tak cichym, iż równie dobrze mógłby to być podmuch wiatru, który nauczył się mówić: *Jaaaaaasiu*.

Powietrze skupia się w postać chmurowej dziewczyny, mgielnej panny.

Ta opowiada Jasiowi, że przed laty jego ojca zabił olbrzym, który mieszka w tym zamku. Ani chybi zabiłby też malutkiego Jasia, ale jego matka tak żarliwie błagała go o zmiłowanie, tuląc niemowlę do piersi, że olbrzym ocalił chłopczyka, pod warunkiem że matka nigdy nie wyjawia synowi okoliczności mężowskiej śmierci.

Może dlatego właśnie matka zawsze traktowała Jasia, jak gdyby był nagrodą i nadzieją jej życia.

Dziewczyna z mgły uzmysławia Jasiowi, że wszystko, co znajduje się w posiadaniu olbrzyma, prawowicie należy się jemu. I znika tak szybko jak smuga papierosowego dymu wypuszczonego z ust.

Jaś jednak – jak to Jaś – już wcześniej doszedł do wniosku, że wszystko, co znajduje się w posiadaniu olbrzyma, a raczej wszystko, co znajduje się w posiadaniu wszystkich, prawowicie należy się jemu. Zresztą nigdy na dobrą sprawę nie uwierzył w bajeczkę o tym, jakoby ojciec nabawił się czerwonki i zmarł podczas podróży służbowej do Brazylii.

Łomocze do drzwi, które otwiera mu żona olbrzyma. Olbrzymka może i kiedyś była ładna, ale po dawnej urodzie nie zachował się żaden ślad. Włosy ma przerzedzone, podomkę poplamioną. Wygląda jak piętnastometrowa wersja jego matki, jest tak samo znękana i nie stara się tego ukrywać.

Jaś oznajmia, że jest głodny, że przychodzi z miejsca, gdzie świat nie zaspokaja wszystkich potrzeb.

Żona olbrzyma, która rzadko przyjmuje gości, cieszy się na widok stojącego pod drzwiami przystojnego, miniaturowego mężczyzny-dziecka. Zaprasza go do środka i częstuje śniadaniem, chociaż ostrzega, że jeśli małżonek wróci do domu, na śniadanie zje Jasia.

Czy Jaś mimo wszystko zostaje? Oczywiście, że tak. Czy olbrzym wraca nieoczekiwanie do domu? Owszem.

Jego głos dudni w gigantycznym przedsionku:

*Fi fa fu je, fi fa fu je  
Ja tu człeka nosem czuję.  
Z jego kości mąkę zmielę,  
Chleb upiekę na niedzielę.*

Żona olbrzyma chowa Jasia nie gdzie indziej, tylko w kotle, w którym jej mąż mógłby go upichcić. Ledwo przykryła garniec pokrywką, do kuchni ciężkim krokiem wtacza się olbrzym.

Jest zażywny, głośny, porywczy, niebezpieczny tak, jak niebezpieczne bywają barowe osiłki albo każdy, kto teoretycznie wygląda zabawnie (ma na sobie kamizelkę i rajtuzy), ale w rzeczywistości stanowi prawdziwe zagrożenie zwyczajnie dlatego, że jest wystarczająco głupi i pijany, by kogoś poważnie poturbować,



zwyczajnie dlatego, że jest na bakier z rozsądkiem, że zakatowanie kogoś kijem bilardowym wydaje mu się uzasadnioną reakcją na czyjaś z lekka obraźliwą uwagę.

Olbrzymka zapewnia męża, że wyczuwa jedynie zapach wołu, którego przyrządziła mu na obiad.

Naprawdę?

W tym momencie na krótko popadamy w farsę. Nie mamy innego wyjścia.

Olbrzym: *Wiem, jak pachnie wół. Wiem, jak pachnie człowiek.*

Olbrzymka: *Bo to nowy rodzaj wołu. Aromatyzowany.*

Olbrzym: *Że co?*

Olbrzymka: *Zupełna nowość. Można też dostać wołowinę o zapachu „łzy księżniczki” albo „zazdrość złej królowej”.*

Podaje mu wołu. W całości.

Olbrzym: *Hmm. Smakuje jak zwyczajny wół.*

Olbrzymka: *To może przestanę kupować.*

Olbrzym: *Nie rozumiem, co jest nie tak ze zwyczajnym wołem.*

Olbrzymka: *Ale małe urozmaicenie, od czasu do czasu...*

Olbrzym: *Tak łatwo można cię naciągnąć.*

Olbrzymka: *Wiem. Nikt nie wie tego lepiej niż ja.*

Gdy już olbrzym pożarł całego wołu, rozkazuje żonie przynieść worki ze złotem, żeby mógł się zająć codziennymi rachunkami. To rytuał, w którym za każdym razem koi go świadomość, że jest tak samo bogaty jak wczoraj i przedwczoraj.

Zadowolony, że wciąż ma całe zgromadzone dotąd złoto, kładzie kolosalną głowę na blacie i zapada w ten rodzaj głębokiej, świszczącej drzemki, na jaką miałyby ochotę każdy po obiedzie z całego wołu.

A to jest sygnał dla Jasia, żeby się wydostać z kotła, capnąć worki ze złotem i wziąć nogi za pas.

Co z kolei mogłoby być sygnałem dla olbrzymki, żeby próbować reanimować swoje małżeństwo – wrzasnąć „Złodziej!” i zaklinać się, że widzi Jasia po raz pierwszy w życiu.

Wieczorem mogliby siedzieć z mężem przy stole, zaśmiewając się, każde

z jednym jądrem Jasia na wykałaczce w uniesionej dłoni. Mogliby sobie wyznać: to wystarczy. Wystarczy być bogatym i mieszkać razem na chmurze, wspólnie się starzeć i nie chcieć nic ponad to, co już mają.

Żona olbrzyma najwyraźniej jednak uznaje, że obłupienie męża to dobre posunięcie.

Wszyscy znamy takie pary. Pary, które od dziesięcioleci toczą ze sobą boje, wierząc chyba, że jeśli w końcu jedno z nich udowodni kiedyś drugiemu, że się myliło – głęboko myliło, myliło na poziomie duchowym – będą oczyszczeni i odzyskają wolność. Gromadzenie dowodów, dochodzenie swoich racji, może pochłonąć całe życie.

Jaś i jego matka, teraz już zamożni (matka Jasia zainwestowała złoto w akcje i nieruchomości), nie przeprowadzają się do lepszej dzielnicy. Nie mogą zostawić fasoli. Rozbudowują się więc. Siedem kominków, katedralne sklepienia, kryte i otwarte baseny.

Nadal mieszkają pod wspólnym dachem, matka i syn. Jaś nie umawia się na randki. Kto wie, ile dziewczyn i ilu chłopców zakrada się jedno po drugim w nocy przez rozsuwane szklane drzwi, gdy matka opada już na dno prywatnego jeziora z pomocą absolutu zmieszanego z klonopinem?

Jasiowi i jego matce świetnie się powodzi. Zwłaszcza że jeszcze niedawno całym ich majątkiem była jedna krowina.

Ale jak wszyscy wiemy, pieniędzy nigdy dość. Bez względu na sumę.

Jaś i jego matka wciąż nie mają czarnej karty American Express. Nie mają prywatnego samolotu. Nie kupili wyspy.

A zatem Jaś znowu wspina się po łądydze fasoli. Po raz drugi łomocze do strzelistych drzwi z chmur.

I znów otwiera mu olbrzymka. Najwyraźniej nie poznaje Jasia i to prawda, że nie jest już ubrany w tandetny strój bywalca klubów – wąskie rurki i syntetyczną koszulę buchniętą z centrum handlowego. Teraz nosi tylko ciuchy od Marca Jacobsa. I ma fryzurę, która kosztowała majątek.

Mimo wszystko: Czy olbrzymka naprawdę myśli, że pod jej drzwiami pojawił

się inny, lepiej ubrany chłopak, z takim samym chytrym uśmieszkiem i takimi samymi złocistymi kędziorami, choć o niebo lepiej obciętymi?

Istnieje dobrze znana skłonność do nieustającego sabotowania małżeństw bez ich zrywania. I jeszcze jedno. Działa powab młodego złodzieja, który cię okrada, a potem zsuwa się z powrotem na ziemię z twojej chmury. Możliwa jest miłość do takiego chłopca, melancholijna i beznadziejna. Można pokochać jego chciwość i narcyzm, podziwiać to wszystko, co znajduje się poza twoim zasięgiem: brawurę, arogancję, samouwielbienie tak czyste, że graniczy z boskością.

Odegrany zostaje znowu ten sam scenariusz. Tym razem, gdy piętnastometrowy nierozgarnięty drab wcześniej i niespodziewanie odśpiewuje na korytarzu swoją piosenkę, olbrzymka chowa Jasia w piecu.

Nie potrzebujemy zaawansowanych stopni naukowych, by dostrzec w tym odruchu zakamuflowane igranie z ideą schrupania Jasia.

Druga wymiana zdań między olbrzymem i olbrzymką – o tym, jak to czuje zapach człowieka, a ona go zapewnia, że to tylko wół przyrządzony na obiad – jest zbyt niedorzeczna nawet jak na farsę.

Wyobraźmy sobie zatem nieświadomą zмовę małżonków. On wie, że coś jest na rzeczy. Wie, że żona ukrywa coś – lub kogoś. Wyobraźmy sobie, że woli żonę zdolną do oszustwa. Żonę, którą stać na coś bardziej interesującego niż domowa harówka i opryskliwość towarzysząca nudnej wierności.

Tym razem, wtrząchnąwszy całego wołu, olbrzym żąda przyniesienia kury znoszącej złote jaja. I chwilę potem zjawia się przed nim – nagradzana kwoka, dostojna i zarozumiała, jak to tylko możliwe w przypadku kur. Stoi przed olbrzymem, pewnie opierając na blacie sine, zakończone pazurkami łapki, i z cichym triumfalnym gdaknięciem znosi kolejne złote jajo.

Które olbrzym podnosi i ogląda ze wszystkich stron. Jajo jak co dzień. Nigdy niczym się nie różni. Olbrzym jednak nadal przywiązany jest nie tylko do rutynowego przeglądu swoich skarbów, lecz także do poobiedniej drzemki, z twarzą na blacie, kiedy to wyświstuje powietrze o wołowym smrodku, a z jego ust skapuje kałuża śliny.

I znów Jaś wyłania się z ukrycia (tym razem z pieca) i porywa kurę. I znów olbrzymka patrzy, jak chłopak wykrada źródło radości i bogactwa męża. I znów zachwyca się nikczemnością Jasia, tego złodziejaszka ubranego teraz w dżinsy za dwieście dolarów. Zazdrości mu tej pazerności, tego niezaspokojenia. Ona, która się zaniedbała, która dzień po dniu gotuje, zmywa, a potem snuje się bez celu z komnaty do komnaty. Ona, która odkrywa w sobie dziwną przyjemność, gdy znajduje się w obecności kogoś zachłannego, bezdusznego i nieczułego.

Czy zdziwi nas wiadomość, że nim mija rok, mniej więcej, Jaś wspina się po łądydze fasoli raz jeszcze?

Wtedy już nie zostało nic, co on i jego matka mogliby sobie jeszcze sprawić. Mają limuzynę z szoferem, mają prywatny samolot, kupili niezamieszkaną wysepkę na Małych Antylach, gdzie wybudowali dom z całoroczną służbą, która czeka w gotowości na ich jedyną w roku wizytę.

Ale zawsze chcemy więcej. Niektórzy z nas chcą więcej niż inni, to prawda, ale zawsze chcemy więcej... czegoś. Więcej miłości, więcej młodości, więcej...

Podczas trzeciej wizyty Jaś woli nie liczyć na przychyłność olbrzymki i zakrada się do zamku od tyłu.

Znajduje olbrzymą i olbrzymkę niezmiennych, chociaż można by pomyśleć, że musieli trochę zacisnąć pasa, straciwszy całe złoto i czarodziejską kurę. Zamek cokolwiek podupadł – przez szpary w chmurowych ścianach prześwituje niebo. Codzienny obiad z całego zwierzęcia składa się raczej z antylopy albo skalnego kozła, żylastego mięsa o zbyt ostrym smaku. Skończyły się tłuste lata utuczonych hodowlanych wołów o delikatnym mięsie.

Nawyki jednak opierają się zmianom. Olbrzym pożera zwierzę, wypluwa rogi i kopyta, a potem żąda przyniesienia swego ostatniego skarbu: czarodziejskiej harfy.

Harfa to trofeum zupełnie innej klasy. Któż potrafiłby określić jej wartość rynkową? To nie tak proste jak w przypadku złotych monet lub złotych jaj. Ona także wykonana została ze złota, ale obca jest jej prozaiczność zwykłej waluty.

Harfa jak harfa – struny, rama, klucze do regulacji – ale wieńczy ją głowa kobiety, nieco mniejsza od jabłka, bardziej surowa niżli piękna; raczej Atena niż

Wenus Botticellego. I potrafi sama grać.

Olbrzym rozkazuje harfie zacząć koncert. Harfa posłusznie wygrywa melodię nieznaną tam w dole, na ziemi, melodię emanującą z chmur i gwiazd, pieśń ruchów niebiańskich, muzykę sfer, tę, do której kompozytorzy tacy jak Bach lub Chopin nieco się zbliżyli, lecz której, jako że to muzyka eteryczna, nie można wydobyć z instrumentów zbudowanych z blachy ani drewna, nie sposób przywołać ludzkim oddechem ani dotykiem.

Harfa usypia swoją muzyką olbrzymia. Gargantuiczna głowa nawiązuje codzienny głośny kontakt z blatem stołu.

Co musiała sobie pomyśleć olbrzymka, gdy Jaś zakradł się i chwycił harfę? *To znowu ty? Nie wierzę. Naprawdę chcesz wykraść ostatni z naszych skarbów?*

Czuje oburzenie, ulgę czy jedno i drugie? Przeżywa swoistą ekstazę na myśl o utracie wszystkiego? Czy raczej miarka się przebrała i położy wreszcie kres zachłanności Jasia?

Tego już się nie dowiemy. Bo to nie olbrzymka ostatecznie protestuje, tylko harfa. Krzyczy, gdy Jaś zbliża się do drzwi: „Panie mój, pomocy, złodziej!”.

Olbrzym budzi się, rozgląda niepewnie dookoła. Coś mu się śniło. Czy to jego życie, jego kuchnia, jego zaniedbana i skwaszona żona?

Zanim wstał i ruszył za Jasiem, ten dobiegł już po chmurze do wierzchołka fasolowego pędu, ściskając mocno harfę, która nieustannie woła o pomoc.

Rozpoczyna się istny wyścig. Instrument przeszkadza Jasiowi w ucieczce – może używać tylko jednej ręki, opuszczając się po łodydze – ale olbrzym ma dużo większe kłopoty z utrzymaniem się na roślinie, która dla niego jest cienka i chwiejna, jak lina, po której musiał się wciągać na lekcjach WF-u, kiedy był małą, samotną beksą.

Gdy Jaś zbliża się do ziemi, woła do matki, żeby przyniosła siekierę. Ma szczęście – tego dnia matka jest na wpół trzeźwa. Wybiega z domu z toporkiem. Jaś ścina łodygę, gdy olbrzym wciąż jeszcze jest na wysokości sokoła polującego na króliki.

Pęd fasoli pada niczym sekwoja. Olbrzym uderza o ziemię tak mocno, że jego ciało przebija się przez górną warstwę gleby i tworzy pośrodku pola głęboką na trzy

metry wyrwę w kształcie olbrzyma.

To dla niego nawet lepiej, w pewnym sensie. Ostatecznie co mu zostało teraz, gdy nie ma już ani złota, ani kury, ani grającej harfy?

Jaś kazał zasypać dziurę w ziemi z ciałem olbrzyma na dnie i – w rzadkim odruchu uszanowania – zasadzić nad miejscem jego wiecznego spoczynku krzewy bzu. Spoglądając z lotu ptaka na ich kępę, widać, że mają kształt ogromnego mężczyzny z rozłożonymi rękami i nogami, mężczyzny zastygłego w pozie osobliwie zmysłowej kapitulacji.

Piękny Jaś i jego matka mają się doskonale. Jaś w rzadkich chwilach zwątpienia przypomina sobie coś, co przed laty powiedziała mu dziewczyna z mgły. Olbrzym popełnił zbrodnię. Jasiowi od niemowlęctwa należało się wszystko, co posiada. Ta myśl uspokaja wyrzuty sumienia, które z upływem lat zaczynają w nim słabowicie kiełkować.

Matka Jasia postanowiła, że będzie kolekcjonować torebki (szczególnie ceni sobie tę z limitowanej serii Murakami Cherry Blossom marki Louis Vuitton) i spotykać się z przyjaciółkami na lunch, które przeciągają się do czwartej albo piątej po południu. Jaś czasem znajduje sobie dziewczynę bądź chłopaka z pobliskich miasteczek, czasem kupuje sobie ich usługi, ale zawsze dba o to, żeby odwiedzali go późno w nocy, po kryjomu. Jak wiemy, Jaś nie jest największym bystrzakiem w okolicy, ma jednak dość oleju w głowie, by wiedzieć, że tylko matka będzie go zawsze bezkrytycznie wielbić, że jeśli któremuś z tych chłopców albo którejs z dziewcząt pozwoli zostać dłużej, zaraz zaczną się napady tajemniczej frustracji i krytyczne uwagi pod jego adresem.



Kura, która dba tylko o składane przez siebie złote jaja, znosi po jednym dziennie i żyje zadowolona w betonowym kojcu z całodobową obstawą, jako że próby wybicia miejscowych lisów przez Jasia okazały się bezskuteczne.

Jedynie harfa jest niespokojna i przygnębiona. Jedynie harfa wygląda tęsknie przez okno pokoju, w którym stoi, pokoju z widokiem na bzy zasadzone nad zatopionym w ziemi ciałem olbrzyma. Harfa, od dawna niema, marzy o czasach, kiedy mieszkała na chmurze i grała muzykę zbyt piękną, by ktokolwiek prócz olbrzyma mógł ją usłyszeć.



# OTRUTA

Wczoraj chciałaś.

Ale dzisiaj jakoś nie mam ochoty.

A to niby dlaczego?

Bo to dziwne. Nie sądzisz, że to jest przynajmniej trochę dziwne? A poza tym, cóż, to się zaczyna robić męczące.

Kiedy dokładnie ci się odwiedziało?

Nie odwiedziało. No dobra, męczy mnie ciągle udawanie, że mnie to nie męczy.

To przez ten żart z jabłkiem dzisiaj na targu? Zrobiło ci się przykro?

Przestań. Myślisz, że się nie przyzwyczyłam do tych głupich żartów?

Zawsze mi mówiłaś, że lubisz to robić. Więc co, kłamałaś?

Nie. To znaczy nie do końca. Przypuszczam, że lubiałam to robić ze względu na ciebie. Ale akurat dzisiaj jakoś naprawdę nie mam ochoty.

Nie sądzisz, że to ciut upokarzające? W sensie: dla mnie.

Nie. Zawsze się godziłam, bo cię kocham. Gdy się kogoś kocha, uszczęśliwianie go sprawia przyjemność.

Nawet jeśli uważasz, że to dziwne? Odrażające?

Nie powiedziałam: odrażające. „Dziwne” i „odrażające” to nie synonimy.

Jakoś cię to nie męczyło, gdy robiłaś to dla tych knypków.

Żadnych knypków, tylko *krasnuludków*. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz dostrzec różnicy.

Przepraszam. Przepraszam cię. Dokonuję przemieszczenia.

Powtarzasz jak papuga po swoim terapeutę. Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy?

Przepraszam. Wiem, że je kochałaś.

Albo kochałam to, że one mnie kochały, nigdy nie byłam do końca pewna.

Jak myślisz, powinniśmy je znowu zaprosić?

Bo ostatnim razem tak świetnie się bawiliśmy?

Nie powiedziałbym, że to była totalna katastrofa. A ty uważasz inaczej?

Musiałeś je podsadzać na krzesła. Nasze łyżki były dla nich wielkości łopat. Naprawdę o tym wszystkim zapomniałeś?

Starałem się być uprzejmy. Starałem się je dobrze ugościć. Odebrałem im, do cholery, miłość życia. Myślisz, że tamtego wieczoru było mi łatwo?

Nie. Starałeś się być dla nich dobry. Wiem o tym. Naprawdę.

OK. Dziesięć minut. Tylko dziesięć, dobrze?

To naprawdę jest dla ciebie aż tak ważne?

Proszę cię, tylko bez protekcjonalnego tonu.

Mógłbyś mi podpowiedzieć, co takiego mam mówić, żeby cię nie urazić?

To dla mnie ważne. Przyznaję, zgoda. Jestem ciut zażenowany tym, że to dla mnie ważne. Ale tak jest.

Wymień jedną rzecz, którą we mnie kochasz.

Daj spokój.

Konkretnie, co takiego?

No dobra. Kocham to, co robisz z ustami, gdy się nad czymś skupiasz, taki trochę dzióbek, jakbyś chciała zagryźć wargę, ale to nie całkiem to, po prostu... dzióbek, całkowicie mimowolny tik, cała ty.

Jeszcze coś.

Kocham te chwile, gdy budzę się przed tobą, a potem, kiedy ty się budzisz i robisz taką zdziwioną minę, czyste zaskoczenie, jak gdybyś nie mogła uwierzyć, że jesteś... tam, gdzie jesteś. To mnie po prostu rozkłada na łopatki. Stąd te poranne erekcje.

Dobra. Dziesięć minut.

Na pewno?

Przeszkadza ci, że lubię cię uszczęśliwiać?

No to dziesięć minut.

Hej, zgadzam się na dwanaście. A co tam.

Ubóstwiam cię.

Tylko uważaj z wiekiem, dobrze?

Przecież zawsze uważam.

No tak. Szczerze, to nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

Wszystko w porządku? Wygodnie ci?

Tak. Jest wygodnie.

Wiesz co...

Co?

Czuję się teraz jak jakiś zbok.

Mów.

Mogłabyś skrzyżować ręce trochę niżej? Bardziej tak bezpośrednio na piersiach?

Mhm.

O tak. Idealnie. Pełna, skończona doskonałość.

Zamykam oczy. Wchodzę w trans.

Boże, jesteś piękna.

Chciałabym czasem móc cię zobaczyć. Gdy mi się przyglądasz.

Też bym chciał. Ale wtedy nie...

Jasne, że nie.

Jaka skóra. Jakie usta. Jakie płatki powiek.

Przestaję się odzywać. Możesz opuścić wieko.

Jestem największym szczęściarzem pod słońcem.

Już nic nie mówię. Zasypiam.

Dwanaście minut, góra. Obiecuję.

Ciii.



Dwanaście minut i ani sekundy dłużej. Obiecuję. Dziękuję, że to robisz, wiem, że już się nie odzywasz. Ale, no, dziękuję ci. To dla mnie ważne, naprawdę. Dobra. Dwanaście minut i dostajesz buziaka. Potem możemy sobie zamówić żarcie do domu, co ty na to? Albo wyskoczyć do knajpy, co tylko chcesz. Moglibyśmy obejrzeć film. Ale dziękuję ci za tych dwanaście minut. No bo spójrz tylko na siebie. Sen jak śmierć. Zanim zacząłem istnieć. W sensie – dla ciebie. Kiedy byłem... no dobra, lubię tak o tym myśleć... kiedy byłem snem, który ci się przyśnił, kiedy byłem przecuciem, kiedy byłem idealny, bo nie istniałem, kiedy byłem czystą możliwością i – mam nadzieję, że to nie jest dziwaczne – kiedy ty byłaś nieskazitelna, zupełnie obca, kiedy byłaś najbardziej doskonałą i najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. To znaczy zanim otworzyłem wieko i pocałowałem cię pierwszy raz.



# MAŁPIA ŁAPKA

W eźmy takich White'ów, skromną, ale szczęśliwą rodzinę. Całkiem szczęśliwą. Jest ich jedynie trójka: matka, ojciec i syn. Syn pracuje w pobliskiej fabryce. Jeśli ma dość utrzymywania rodziców, jeśli irytują go noce bez seksu lub rozmyśla o młodości pozbawionej hulanki i drobnych wybryków, jeśli w wieku dwudziestu dwóch lat martwią go przedwczesne dolegliwości wywołane ciężką pracą (a to szwankujące kolano, a to bolesny węzeł u podstawy kręgosłupa) – nigdy o tym nie wspomina. Nie urodził się w miejscu ani czasach, kiedy synowie całują rodziców na pożegnanie, łagodnie besztają mamy za ocierane chusteczką łzy i dziarskim krokiem ruszają w drogę ku życiu na swoim.

Mieszkają w chacie, chociaż nie jest to kryty strzechą, schludny budynek, z jakim zwykle kojarzy się słowo „chata”. Ich dom tonie w błocie na owiewanym wiatrem odludziu. Państwo White'owie nie mieli specjalnie dużego wyboru.

A mimo to nie utyskują. Nie narzekają na drobne domowe niewygody. To ciasne i zawilgocone siedlisko, ta przez ponad pół roku nieprzejezdna od deszczu droga wydają im się czymś nieuniknionym i pocieszają się wzajemnie ogólnikowymi uwagami, że mogłoby być gorzej (choć trudno określić, jak należałoby rozumieć owo „gorzej”). Między nimi nie ma śladu pretensji w rodzaju: *Jak mogłam dać się tu ściągnąć?* albo *Kiedy w końcu umrę, żeby się stąd wyrwać?*

Gość, który przybywa pewnej słotnej nocy, nie jest nieznanym, a raczej nie do końca kimś obcym, choć osobliwy z niego człowiek. Jest dawnym kolegą pana White'a, mężczyzną, który za młodu (bardziej niż pan White) ulegał skłonnościom

do szaleństw i krnąbrnego zachowania. Śladem innych szukających guza młodzieńców wstąpił w końcu do wojska. Przez ponad dwadzieścia lat brał udział w zagranicznych misjach i niedawno wrócił z Indii. Ostatnie dwie dekady spędził z hełmem na głowie jako milkliwy obrońca Imperium w krainach, gdzie rządzą przesady, błogosławieństwa i klątwy, tajemne czarodziejskie praktyki, które zwykle są pozorowane, choć czasem wydają się czymś może nie do końca autentycznym, ale też nie fałszywym.

Gość przynosi ze sobą prezent, uciętą małpią łapkę, która, jak twierdzi, ma moc spełnienia trzech życzeń.

White'owie nie są pewni, jak zareagować na ten specyficzny dar. Nie pogardziliby trzema życzeniami – jednym byłaby prośba o niepoliczony bogactwa. No ale naprawdę. Ten makabryczny, wyschnięty przedmiot o martwych, ciemnobrązowych pazurkach, które się zawijają? Wyglądało na to, że staremu druhowi pana White'a pomieszało się w głowie, co nie jest znowu aż tak niespotykane wśród tych, którzy spędzili sporo czasu w obcych, dalekich krajach.

Mimo wszystko nieuprzejmie byłoby odmówić. Prawda?

Pan White bierze łapkę do ręki i ze zdumieniem i trwogą zauważa, że ta leciuteńko zadrżała w kontakcie z jego dłonią.

Zanim jednak zdążył krzyknąć, jego dawny kompan mu ją wyrywa. Drżącym głosem przyznaje, że chciał się dopuścić niegodziwości. Nie był się w stanie pozbyć talizmanu i pomyślał, że uwolni się od niego, oddając łapkę biednej, niewinnej rodzinie...

White'owie tylko wbijają w niego wzrok. Cóż mogliby na to powiedzieć?

Gość wyznaje, że przeklina dzień, kiedy jego zmęczone oczy po raz pierwszy ujrzały małpią łapkę.

W przypiływie obłąkańczej determinacji ciska ją do kominka.

Pan White równie szybko wyciąga ją z płomieni, parząc się w palce. Wstydzi się za swojego znajomego. Zapewnia go, że prezent to prezent. Oznajmia, że zawsze ciągnęło go do egzotyki, a w tej okolicy egzotyki jest jak na lekarstwo.

Gość, zasępiony i przerażony jak piżmak w potrzasku, podchodzi chwiejnie do

drzwi. Na pożegnanie ostrzega White'ów przed wypowiedaniem wobec łapki życzeń i błaga ich, żeby – jeśli już nie będą się mogli powstrzymać – poprosili jedynie o coś rozsądnego.

I znika za drzwiami. Pochłania go nocny deszcz.

Matka i syn szybko wydają werdykt. Parskają głośnym śmiechem.

*Coś rozsądnego? Przyślij nam, prosimy, nową szufelkę? Zechciej ograniczyć populację karaluchów w spizarni?*

Pan White milczy. Zamyka drzwi, za którymi ulewa szumi jak rój szerszeni.

Mógłby przysiąc, że poczuł, jak łapka zaciska się na jego dłoni, gdy została mu podana. Trzyma ją jednak znowu i teraz jest nieruchoma jak sama śmierć.

Pan White zdobywa się jedynie na symboliczny protest w obronie biedaka.

– Zaszkoziła mu zbyt duża dawka egzotyczności, nie znaliście nas, jak byliśmy młodzi...

Pani White wrywa mu łapkę, mamrocze wymyśloną magiczną formułkę i mówi:

– Chcę...

Urywa zaraz. Stwierdza, że nie przychodzą jej do głowy żadne życzenia (tej, która zmywa naczynia w starym żelaznym kotle, która usiłuje rozniecać ogień z zamoczonych polan).

– Chcę mieć dwieście funtów – mówi w końcu, jako że tyle właśnie im brakuje, żeby spłacić dom. Dzięki dwustu funtom ta ciemna nora z niskim sufitem mogłaby należeć do nich.

Trudno sobie wyobrazić bardziej rozsądną prośbę.

Nic się nie dzieje. Plik banknotów nie objawia się nagle w cukiernicy, przez przewód kominowy nie spadają monety.

Wszyscy troje udają się na spoczynek.

Gdy już pan i pani White leżą wygodnie w pościeli, ona nie dziwi się, nawet gdy ogarnia ją senność, dlaczego wyszła za mężczyznę, który po skromnym wiejskim weselu zabrał ją do tak nędznego domu. (Przecież powinna była się domyślić, gdy przybył na ślub w nadjedzonym przez mole garniturze swojego ojca, gdy



oświadczył, że powóz to zbędny wydatek?) Pan White, który nie sypia dobrze i teraz przewraca się z boku na bok, żeby znaleźć dogodną pozycję do snu, nie kwestionuje w duchu wyboru żony niemającej za grosz ambicji ani wiary. Nie zadaje sobie pytania: Skąd w ogóle przyszedł jej do głowy pomysł przejęcia tej rudery na własność, choćby w żartach?

Rano syn wychodzi do pracy. Późnym popołudniem przybywa przedstawiciel fabryki, żeby poinformować pana i panią White, że doszło do wypadku. Syn został wciągnięty w tryby maszyny, jak gdyby był surowcem do wytwarzania jakiegoś produktu z poharatanego ciała, odłamków kości, zerwanych ścięgien i rozbryzgów krwi, która na oczach innych pracowników zmieniła szybko kolor z czerwonego na czarny.

Posłaniec okazuje stosowne, służbowe współczucie. Zdaje sobie sprawę, że nie ma rekompensaty za stratę tego rodzaju. Właściciele fabryki jednak mają w zwyczaju wypłacać odszkodowania rodzinom tych, których pochwyliły maszyny. To niewielka suma, wiadomo, ale firma jest gotowa przekazać rodzicom chłopaka...

Oczywiście nie muszę wam podawać dokładnej sumy.

Nie muszę też pisać, na pewno nie w szczegółach, o oszalałej z żalu matce, która wypowiedziała feralne życzenie; o tym, jak to późną nocą – kilka dni po zamknięciu w trumnie szczątków syna (wystawienia ciała nie było) i po pochowaniu ich na zachwaszczonym przykościelnym cmentarzu – bierze do ręki małpią łapkę i woła do pustego pokoju, do deszczu poza pokojem: „Ożyw go”.

Nic się nie dzieje.

Nie od razu.

Dopiero po kilku godzinach państwo White'owie, którzy już się położyli, usłyszeli na zewnątrz odgłos zbliżających się kroków. Wystarczyło jednak tylko kilka chwil, żeby sobie uzmysłowić, że cechuje je miarowa powolność, pewna powłóczystość, jak gdyby podeszwy butów nie odrywały się naprzemiennie od powierzchni ziemi, a każdy krok był sprawiającym ból ślizgiem w błotnistej mazi.

Oboje pojmują w tej samej chwili, co się stało. Z cmentarza jest kawał drogi.

Pani White zbiega po wąskich schodach, a za nią pan White.

– On wrócił – woła starsza kobieta.

– Nie on, *ono* – odpowiada z trudem jej mąż.

Wróciło rozszarpane ciało, istota ze strzaskanych kości i zmiażdżonej maski twarzy (istota, która kiedyś biegała ze śmiechem za gumową piłką, która z wdziękiem śmigała z kolegami na łyżwach po stawie). Jest już przy skrzypiącej furtce do ogrodu.

Zostało wezwane. Wciąż rozpoznaje światło w oknie.

Gdy pani White szarpie się z rygłem przy drzwiach, pan White bierze do rąk małpią łapkę. Jest gotów zawołać: „Niech to coś odejdzie”.

Milczy. Wie, co powinien zrobić. Nie może jednak znieść myśli, że jego żona otworzy drzwi, a za nimi nie zastanie nic prócz hulającego wiatru. Nie jest pewien, czy zdoła znieść rozpacz i gniew, które kobieta wymierzy przeciw niemu, gdy już odwróci się od pustego progu.

Pan White stoi więc pośrodku pokoju z małpią łapką w ręku, gdy żona otwiera szeroko drzwi, i razem z żoną dostrzega to, co czeka na zaproszenie do środka.

Mieszkają we troje już od ponad roku. W ciągu dnia straszdyło rozkłada się w tapicerowanym fotelu przy migocącym ogniu, takim, jaki udało się rozniecić z mokrych polan. Gdy nadchodzi noc, wdrapuje się bez słowa na piętro, pokonując ciężko każdy stopień, i spędza czas w swojej sypialni (nie wiadomo, czy sypia), aż znów nadchodzi ranek, kiedy to ponownie zajmuje stałe miejsce przy kominku.

To mimo wszystko ich dziecko. To, co z niego zostało. Państwo White'owie pokryli ściany salonu wszystkimi starymi fotografiami, które znaleźli: ich mały synek w kombinezonie narciarskim uśmiechnięty szeroko w tumanie białych płatków śniegu; jako nastolatek z poważną miną w muszce pozujący przed szkolnym fotografem; uśmiechający się niepewnie u boku nieodpowiedniej dziewczyny (tej przy kości, o chytrym spojrzeniu i lekkich obyczajach, teraz pijącej żony miejscowego rzeźnika), którą zabrał na pierwszą w życiu zabawę.

White'owie palą kadzidełka, żeby zagłuszyć zapach. Gdy nastaje wiosna, wypełniają dom bzami i różami.

Pan i pani White odtwarzają, najlepiej jak potrafią, pewną wersję swoich

dawnych dni. Żartują i wspominają. Co piątek pani White przyrządza potrawkę z baraniny, chociaż maskara nie chce już ani nie musi jeść.

Zazwyczaj wpatruje się obojętnie w wąły ogień, chociaż od czasu do czasu, gdy poruszony zostaje jakiś temat, gdy matka lub ojciec pytają, czy nie chciałby jeszcze jednej poduszki albo czy pamięta tamtą wycieczkę sprzed lat, do tego jeziora w górach, monstrum podnosi to, co zostało z jego głowy, i nakierowuje na nich pojedynczą, lekko opalizującą gałkę oczną z wyrazem nie tyle złości, ile niezrozumienia. Co takiego ma na sumieniu? Jego strażnicy są nawet dobrzy, starają się zapewnić mu wygody, ale dlaczego go tutaj trzymają, cóż takiego uczynił, w czym zawinił?

Dnie przechodzą w noce, noce w dni. Ani w domu, ani poza nim, gdzie szare niebo i gołe gałęzie drzew odbijają się w kałużach na drodze, nie zachodzą żadne zmiany.

Wysiłek konieczny do podtrzymania tej odmienionej rzeczywistości zaczyna jednak odciskać na nich swoje piętno. Pani White niekiedy zastanawia się melancholijnie wieczorową porą, co teraz porabia Tom Barkin, ten, którego mogła poślubić, a to, że słowa „mogła poślubić” oznaczają jedynie, iż była (jak podkreśla pan White) jedną z kilkunastu dziewcząt, z którymi Tom Barkin bezwstydnie flirtował, zamiast podkopywać, zdaje się jeszcze wzmacniać jej przekonanie o utraconej szansie. Pan White w końcu oznajmia jej, że nie podoba mu się, nigdy mu się nie podobał, jej zwyczaj pogwizdywania w trakcie wykonywania domowych obowiązków, ale szybko się przekonuje, że niechętnie, acz posłuszne zaprzestanie tej czynności sprowadza przytłaczającą ciszę gorszą niż wcześniejsze gwizdanie. Niedośmażony bekon nie jest już spożywany przez pana White'a bez komentarza. Jego nieczęste kąpiele nie wywołują już zapewnień, że w naturalnym zapachu mężczyzny jest coś ujmującego. Na jego anegdoty pani White coraz częściej reaguje nieskrywanym znużeniem.

Istota, która siedzi w fotelu zapatrzona w dymiące i tłące się polana, najwyraźniej niczego nie zauważa.

Pan i pani White przypominają sobie: to jest wciąż ich syn. Trwają przy nim, bo taka jest ich powinność. Dzięki swej zacności mają przynajmniej to. Nie raz, a dwa

razy powołali go do życia.

I tak ogień nie jest wygaszany. Co piątek przygotowuje się baraninę. Tych nielicznych, którzy chcieliby wpaść z wizytą, odwodzi się od tego zamiaru – White’owie twierdzą, że są po prostu zbyt zapracowani, żeby przyjmować gości. Bywają jednak chwile, kiedy pani White wyobraża sobie, o ile łatwiejsze byłoby życie, gdyby pan White zmarł nagle na serce, niedomagające zresztą, i zesłał ją do prostszej krainy wdowieństwa, gdzie nikomu nie przeszkadza pogwizdywanie ani to, jak usmażony jest bekon, gdzie ulotniłby się gryzący zapach potu pana White’a, gdzie nikt by od niej nie wymagał udawania, że bawi ją ta sama stara, opowiedziana po raz tysięczny anegdota. Bywają chwile, kiedy pan White wyobraża sobie, że jego żona odchodzi z Tomem Barkinem, który jest teraz stary, stracił połowę zębów i wciąż flirtuje z dziewczętami, choć te wzdrygają się z obrzydzeniem. Zostałaby cudzołożnicą i nikt by go nie winił za to, że w samotności stara się nie upaść na duchu. Stałby się obiektem powszechnego współczucia. Jakiś znajomy mógłby się nawet odważyć i wyrazić od dawna tajoną opinię, że – z czym zgadzają się wszyscy w okolicy – pana White’a naprawdę stać na więcej. I w pobliżu mieszka kilka niestarych jeszcze wdówek, co nie wyglądają na kobiety tego typu, którym by przeszkadzał męski zapach lub które nie doceniłyby porywającej, dobrze opowiedzianej anegdoty.

Wydaje się, że byłoby łatwiej, gdyby pod tym dachem było ich mniej.

White’owie, wszyscy troje, dobrze wiedzą, gdzie spoczywa małpia łapka – na górnej półce w kuchennej szafce obok pękniętej misy. Wiedzą, wiedzą zawsze i wiedzą wszyscy, że łapka może spełnić jeszcze jedno życzenie.



# KARZEŁ

**A** gdybyś tak miał dziecko?

Z dzieckiem pod opieką głowę miałbyś zaprzątniętą czymś więcej niż tylko tym, jak przebrnąć przez kolejny szczyt sezonu urlopowego i jak bardzo danego dnia będzie szaleć pani Witters z księgowości. Myślałbyś o zakupie maleńkich bucików i zabawek na kółkach, o wizytach u dentysty, o wpłatach na fundusz uczelniany.

Zwyczajny dom, do którego wracasz co wieczór? Stałby się czyimś domem pierwotnym. Miejscem – gdy minie kilkadziesiąt lat – które ktoś będzie już zawsze pamiętał jako ognisko komfortu i troski, a w pamięci jego pokoje będą wydawać się większe, bardziej majestatyczne, wspanialsze. Ta sofa, te zakupione w pośpiechu lampy, wtedy planowane jako rzecz tymczasowa (po latach wciąż tu są), będą dla kogoś czymś legendarnym.

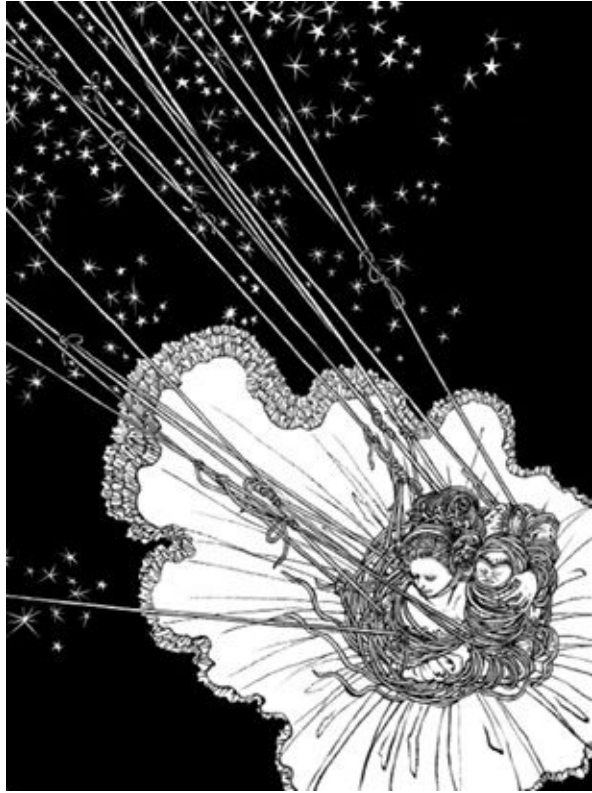
Wyobraź sobie, że docierasz do punktu, w którym pragniesz dziecka bardziej niż czegokolwiek innego, odkąd sięgasz pamięcią.

Zdobycie dziecka to jednak nie to samo co zamówienie pizzy. Tym bardziej, gdy jest się zdeformowanym, karłowatym mężczyzną, i gdybyś miał podać swój zawód, jak byś określił to, czym się zajmujesz? Kim jesteś? Skrzatem? Chochlikiem? Ośrodki adopcyjne są już wystarczające niechętne wobec lekarzy i prawników, jeśli ci są kawalerami po czterdziestce. Więc śmiało. Spróbuj zaadoptować dziecko jako dwustuletni gnom.

Choć sobie tłumaczysz i perswadujesz (w niektóre noce działa to lepiej niż

w inne), do lekkiego szału doprowadza cię już sam fakt, że tak dużej części społeczeństwa dzieci po prostu... się rodzą. Raz dwa i po krzyku. Jedno miłosne zbliżenie i dziewięć miesięcy później następuje to rozkwitnięcie, bezrozumne i bezsensowne jak wykiełkowanie krokusa z cebulki.

Co innego zazdrościć takich przymiotów jak bogactwo i uroda, którymi ktoś – ale nie ty – został obdarzony przez nieokreślonych, lecz arbitralnych darczyńców. A zupełnie co innego tęsknić do czegoś, co jest tak łatwo osiągalne dla każdego ochlapusa i barmanki, którzy zaszyją się na trzy minuty w ciemnym kącie jakiegoś parszywego, zatęchłego pubu.





Nadstawiasz więc uszu, gdy dochodzi do ciebie plotka. O jakimś zubożałym młynarzu, którego interes podupada (jest coraz mniej drobnych właścicieli młynów prowadzących ręczny przemiał – ich mąka i mączka kosztują dwa razy więcej niż to, co masowo produkują korporacje, a wyroby wielkich firm są wolne od trzeszczących drobinek dostających się do worków z mąką bez względu na to, jak bardzo się uważa), młynarzu, który nie ma ubezpieczenia zdrowotnego ani inwestycji i który nie odkłada pieniędzy na emeryturę (potrzebny jest każdy grosz, żeby nie dopuścić do zamknięcia młyna).

Ów młynarz zapewnił króla, że jego córka potrafi wyprząść złoto ze słomy.

Musiał być zdesperowany. Myślał pewnie, że potrzebuje tak groteskowej deklaracji, by król w ogóle zwrócił na niego uwagę.

Domyślasz się (sam będąc aspirującym ojcem, wolisz nie dopatrywać się obłędu u innych rodziców), na co liczy młynarz: jeśli zdoła posłać córkę do pałacu, jeśli wymyśli sposób, żeby król ją zobaczył, monarcha będzie tak zauroczony (czyż każdy ojciec nie uważa, że jego córce nie sposób się oprzeć?), że zapomni o absurdalnej historyjce o słomie i złocie. Gdy już ujrzy zachwycająco bladą szyję dziewczęcia, gdy ta pośle mu swój uśmiech, gdy król usłyszy cudne klarnetowe brzmienie jej delikatnego, ale zadziwiająco dźwięcznego głosu.

Młynarz najwyraźniej nie był sobie w stanie wyobrazić, ile to bladosznych, nieśmiało uśmiechniętych panien władca zdążył już poznać. Jak większości innych ojców nie mieściło mu się w głowie, że jego córka może nie być wyjątkowa, że może być śliczna, zabawna i inteligentna, ale nie aż tak, aby przyćmić wszystkie konkurentki.

Będąc biednym, naiwnym i kochającym ojcem, młynarz nie spodziewał się, że zamkną jego córkę w izbie pełnej słomy i każą jej prząść z niej złoto, tak jak większość ojców nie dopuszcza do siebie myśli, że ich córki mogą nie cieszyć się powodzeniem, nie dostać się na studia lub paść ofiarą przemocy ze strony mężczyzn, za których się wydają. Podobne kwestie nie mieszczą się w rodzicielskim spektrum rzeczy możliwych.

Ale to nie wszystko.

Król, który naprawdę nie cierpi, jak się go robi w konia, oświadcza z progu piwnicznej celi wypełnionej słomą, że jeśli do rana dziewczyna nie zamieni wszystkiego w złoto, czeka ją śmierć.

Co? Zaraz, chwileczkę...

Młynarz zaczyna przyznawać się do błędu, błagać o wybaczenie. Żartował, nie – zgrzeszył pychą, chciał, żeby król poznał jego córkę, bo martwił się o jej przyszłość, najjaśniejszy panie, nie myślicie chyba poważnie o tym, żeby ją *zabić*...

Król rzuca młynarzowi lodowate spojrzenie, każe wartownikowi go odprowadzić i odchodzi, zamknąwszy drzwi do celi na klucz.

W tym momencie wkraczasz ty.

Wywodzisz się z rodziny o czarodziejskich tradycjach. Twoi przodkowie od pokoleń przywoływali deszcze, dokonywali egzorcyzmów, znajdowali zgubione obrączki.

Nikt z rodziny, w każdym razie nikt w ciągu ostatnich kilku stuleci, nie myślał o tym, żeby zająć się tym zawodowo. Nie jest to zajęcie zbyt... poważane. Trąci desperacją. Poza tym czary i magiczne praktyki mają to do siebie, że nie są w stu procentach skuteczne. To rodzaj sztuki, nie nauka. Kto by chciał zwracać pieniądze wieśniakowi, gdy ten stoi bez środków do życia na wciąż wyschniętym polu? Kto by chciał się tłumaczyć starszej parze, która wciąż słyszy rechot dobiegający spod materaca, której sztuce wciąż wlatują ze stołu i fruwią po pokoju? *Przepraszam, to zwykle działa...*

Gdy dowiadujesz się o dziewczynie potrafiącej rzekomo uprząć ze słomy złoto (całe królestwo o tym mówi), nie myślisz od razu: *Może jest tu szansa na zdobycie dzieciaka*. Dla większości ludzi byłoby to zbyt dalekie wybiegnięcie w przyszłość, a ty, chociaż masz odważne serce i wielki zapał, nie jesteś szczególnie poważnym myślicielem. Kierujesz się raczej instynktem. A zatem to instynkt ci podpowiada: *Pomóż tej dziewczynie, a nuż wyniknie z tego coś dobrego*. Może po prostu dlatego, że ty i tylko ty masz jej coś do zaoferowania. Ty, który nie miałeś nigdy wcześniej zbyt wiele do zaoferowania dziewczętom, które mijały cię obojętnie ze swoimi chłopakami, zaśmiewając się i pozostawiając za sobą zapach perfum – woń perfum,

pułdru i wzburzenie powietrza poruszonego przez ich ciała.

Zamiana słomy w złoto przekracza twoje obecne możliwości, ale niekoniecznie jest to coś, czego nie mógłbyś się nauczyć. Istnieją prastare formułki. Jest ciotka Farfalinda, starsza niż niektóre z tych formułek, ale z tego, co ci wiadomo, wciąż pozostająca wśród żywych, jedyna prawdziwie utalentowana członkini twego psotnego plemienia, które zwykle jest bardziej skłonne rzucać zaklęcia na szczury, żeby mówiły po flamandzku, albo wyczarowywać robaki ze świątecznych wypieków innych ludzi.

Dostać się do zamku nie jest trudno. Wielu ludzi o tym nie wie, większość bowiem wyobraża sobie te budowle jako ufortyfikowane i niedostępne warownie. Tymczasem zamki od pokoleń wielokroć przebudowywano i poprawiano. Jeden z małoletnich królów uparł się, żeby wybito tajemne przejścia z otworami do podglądania w oczach sportretowanych przodków. Był też pewien król paranoik, który kazał wydrążyć tunele ewakuacyjne ciągnące się kilometrami do lasów, wiejskich dróg i cmentarzy.

Młynarzówna jest jednak zdziwiona i zachwycona, gdy materializujesz się w izbie pełnej słomy. Nie musiałeś do tego stosować żadnych czarów. Ale już zdobyłeś w jej oczach wiarygodność.

Z miejsca pojmujesz, dlaczego młynarz uważał, że jego ryzykowne posunięcie może się powieść. Dziewczyna to prawdziwa piękność, nieszablonowa, tak jak większość wielkich piękności. Skórę ma gładką, nieskazitelną niczym bładoróżowa porcelana, nos tylko odrobinę dłuższy niż być powinien, szeroko rozstawione, ciemnobrązowe oczy z sobolowymi rzęsami, rozedrgane ciekawością, bezdenne.

Przygląda ci się. Nic nie mówi. Jej życie, począwszy od tego ranka, stało się dla niej czymś tak dziwnym (dla niej, która jeszcze wczoraj zszywała worki na zboże i zmiatała z podłogi rozsypane ziarna), że nagłe ukazanie się zgarbionego osobnika o małych stopach, niespełna metr dwadzieścia wzrostu, z podbródkiem wydłużonym jak korzeń rzepy, wydaje jej się tylko jednym z całego łańcuszka nieprawdopodobnych zdarzeń.

Oznajmiasz jej, że chcesz pomóc. Dziękuję ci skinieniem głowy. Zabierasz się

do pracy.

Początkowo nie idzie ci najlepiej. Słoma przepuszczona przez kołowrotek pozostaje słomą, połamaną i powyginaną.

Nie zamierzasz jednak poddawać się panice. Powtarzasz w myślach zaklęcie, którego nauczyła cię ciotka Farfalinda (jest teraz nie większa od borsuka, z zachodzącymi bielmem pustymi oczyma i palcami cienkimi i sztywnymi jak sople lodu). Koncentrujesz się – wiara jest kluczem. Zwyczajni ludzie nie są w stanie uprawiać magii między innymi przez najzwyklejszy niedobór pewności siebie.

I w końcu... tak. Pierwszych kilka ździebeł jest tylko przyprószonych złotem, jak zniszczone relikty przeszłości, ale w następnych jest więcej złota niż słomy, a po chwili z kołowrotka zaczyna spływać nitka po nitce czyste złoto o głębokim kolorze, nie mocnej żółci, jak to czasem bywa ze złotem, lecz żółci z domieszką różu, i błyszczący leciuteńko w oświetlonej pochodniami izbie.

Oboje – ty i dziewczyna – patrzycie jak urzeczeni, gdy topnieją kopy słomy, a na wapiennej podłodze piętrzą się zwoje złotych żyłek. W tej chwili najbardziej w swym dotychczasowym życiu zbliżyłeś się do miłości, do cielesnych rozkoszy – gdy ty przy kołowrotku, a dziewczyna za tobą (w roztargnieniu kładzie ci dłoń, delikatnie, na ramieniu) w zdumieniu patrzycie razem, jak ze słomy przedzie się złoto.

Gdy jest po wszystkim, dziewczyna mówi:

– Panie.

Nie jesteś pewien, do kogo się zwraca: do ciebie czy do Boga.

– Cieszę się, że mogłem być do usług – odpowiadasz. – A teraz już sobie pójdę.

– Pozwól, że coś ci ofiaruję.

– Nie ma potrzeby.

Mimo wszystko ściąga z szyi sznur paciorków i podaje ci go. To granaty, tanie, pewnie sztucznie barwione, chociaż w tej izbie w tym momencie, gdy złota słoma promienieje delikatnym światłem, są tak intensywnie czerwone jak krew prosto z serca.

Młynarzówna mówi:

– Dostałam je od ojca w osiemnaste urodziny.

Nasuwa ci naszyjnik na głowę. Niezręczna sytuacja, gdy korale zahaczają o twój wystający podbródek, ale dziewczyna podnosi je i wtedy jej palce muskają twoją twarz. Sznur paciorków opada na twoją pierś. Na pochyłość, gdzie byłaby pierś, gdybyś był normalnie zbudowanym mężczyzną.

– Dziękuję – mówi.

Kłaniasz się i wychodzisz. Młynarzówna widzi, jak wymykasz się przez ukryte drzwi, bez zawiasów i klamki, jedno z wielu zamówionych przez dawno zmarłego króla paranoika.

– To żadne czary – śmieje się.

– Prawda – odpowiadasz. – Ale czasem wystarczy tylko wiedzieć, gdzie są ukryte drzwi i jak je otworzyć. Całe czary-mary.

Po tych słowach znikasz.

Dowiadujesz się o tym następnego dnia, gdy włóczysz się samotnie po krańcach miasta, ze sznurem granatów na szyi pod poplamioną wełnianą koszulą.

Dziewczyna wykonała zadanie. Wyprzędła złoto ze słomy.

Reakcja króla? Zrób to raz jeszcze, w większej komnacie, z dwukrotnie większym zapasem siana.

Żartuje. Prawda?

Nie żartuje. W końcu jest tym samym królem, który wydał dekret, aby psy i koty ubierać w spodnie, który zbyt głośny śmiech zamienił w czyn karalny. Chodziły słuchy, że w dzieciństwie był maltretowany przez ojca, poprzedniego króla. Ale czyż ludzie nie powtarzają sobie tej historyjki zawsze, gdy chcą wytłumaczyć czyjeś niezrozumiałe zachowanie?

Tej nocy robisz to znowu. Tym razem przedziesz bez wysiłku. A przędąc, popisujesz się przed dziewczyną komicznymi sztuczkami przy kołowrotku. Przez chwilę przedziesz jedną ręką. Przedziesz tyłem do kołowrotka. Przedziesz z zamkniętymi oczami.

Młynarzówna śmieje się i klaszcze. Jej śmiech jest cichy i dźwięczny jak

brzmienie klarnetu.

Tym razem po wykonanej pracy dostajesz od niej pierścień. On też jest tani – srebro z wtopionym w nie diamentowym okruszkiem.

– Należał do mojej matki – wyjaśnia.

Wsuwa ci go na mały palec. Opornie, ale wchodzi. Stoisz przez chwilę zapatrzony w swoją dłoń, która – jakkolwiek by patrzeć – z guzowatymi knykциями i grubymi, pożółkłymi paznokciami nie przedstawia sobą ładnego widoku. Ale to twoja ręka, a na jednym palcu, proszę bardzo, pierścień od niej.

Ulatniasz się bez słowa. Obawiasz się, że cokolwiek powiesz, zabrzmiałby krępująco żarliwie.

Nazajutrz...

Zgadza się. Jeszcze jedna komnata pełna słomy, znów dwa razy większa od poprzedniej. Król obiecuje, że to już ostatnia, ale domaga się trzeciego i ostatniego wyczynu alchemicznego. Wierzy najwyraźniej w wyższość trójek, co tłumaczyłoby, dlaczego kazał dobudować do zamkowych murów trzy paskudne i całkowicie zbędne wieże, dlaczego ma trzech doradców, których nigdy nie słucha, i dlaczego organizuje się trzy doroczne parady bez żadnej specjalnej okazji, ot, na cześć samego króla.

I...

Król obwieścił jeszcze, że jeśli dziewczyna poradzi sobie z zadaniem ponownie, weźmie ją sobie za żonę, uczyni swoją królową.

To ma być niby nagroda? Małżeństwo z człowiekiem, który kazałby cię skrócić o głowę, gdybyś nie zdołała dokonać nie jednego, lecz aż trzech cudów?

Dziewczyna mu odmówi, na pewno.

Wybierasz się raz jeszcze do zamku i znowu robisz swoje. Wydaje się, że teraz już powinno ci to spowszednieć – widok rosnącej góry złotej słomy, jej ognisty blask, ale z jakiegoś powodu wcale się tak nie dzieje. To trochę jak (tak ci się przynajmniej wydaje) być zakochanym i od nowa każdego ranka nie móc się nadziwić pozornej błahostce, że twoja ukochana jest tutaj, tuż obok w łóżku, że niebawem otworzy oczy i że jak co dzień twoja twarz będzie pierwszą rzeczą, którą ujrzy.

Gdy kończysz, młynarzówna mówi:

– Obawiam się, że nie mam już nic do oddania.

Nieruchomiejesz. Jesteś zszokowany, że jeszcze czegoś od niej chcesz. Powtarzałeś sobie przez minione dwie noce, że naszyjnik i pierścień to wprawdzie istne cudenka, ale przecież niepotrzebne, bo wystarczającą nagrodą za to, coś zrobił, był wyraz wdzięczności na jej twarzy.

Zaskakuje cię więc, że tej ostatniej nocy nie chcesz wyjść bez nagrody. Że pragniesz – z irytującą niecierpliwością – kolejnego gestu, talizmanu, jeszcze jednego dowodu. Domyślasz się, że więcej jej nie zobaczysz, i to może dlatego.

– Chyba nie chcesz się za niego wydać? – pytasz.

Młynarzówna wbija wzrok w podłogę usłaną źdźbłami złotej słomy.

– Zostałabym królową – mówi.

– Ale byłabyś poślubiona jemu. Człowiekowi, który zamierzał cię zabić, gdybyś nie stanęła na wysokości zadania.

Dziewczyna podnosi głowę i spogląda na ciebie.

– Mógłby ze mną zamieszkać ojciec.

– Mimo wszystko. Nie możesz wyjść za potwora.

– Ojciec zamieszka w zamku. Będzie pod opieką nadwornego medyka. Jest chory, zbożowy pył niszczy płuca.

Jesteś nie mniej zdziwiony niż ona, gdy słyszysz własne słowa:

– Więc przyrzeknij mi, że dasz mi swe pierwsze dziecko.

Zamiast odpowiedzieć, trzepocze jedynie w zdumieniu rzęsami.

Ale słowa już padły. Teraz możesz tylko brnąć dalej.

– Pozwól, że wychowam twoje pierwsze dziecko – dodajesz. – Będę dobrym ojcem, nauczę je czarów, nauczę je szczodrości i współczucia. Król raczej się do tego nie nadaje, nie sądzisz?

– Jeśli się nie zgodzę, wydasz mnie? – pyta.

Och.

Nie chcesz się posuwać do szantażu. Wolałbyś, żeby nie zadała tego pytania, i nie masz pojęcia, jak odpowiedzieć. Nigdy byś jej nie wydał. Ale tak bardzo

wierzysz, że możesz ocalić niepoczęte jeszcze dziecko, które, jeśli mu nie pomożesz, będzie maltretowane przez ojca (czyż ofiary przemocy nie traktują tak samo własnych dzieci?) i zostanie w swoim czasie kolejnym okrutnym i kapryśnym władcą, domagającym się bezsensownych parad i coraz paskudniejszych wież i kto wie, czego jeszcze.

Odbiera twoje milczenie jako „tak”. Tak, wszystko wyjawisz, jeśli nie przyobieca ci dziecka.

– W takim razie dobrze – godzi się. – Obiecuję, że oddam ci pierwsze dziecko.

Mogłeś się jeszcze wycofać. Mogłeś powiedzieć, że tylko tak żartowałeś, że nigdy nie odebrałbyś matce dziecka.

Odkrywasz jednak – niespodzianka – że podoba ci się ta jej kapitulacja, ta bezradna zgoda u najnowszego wcielenia tych wszystkich dziewcząt z minionych lat, które nigdy niczego ci nie dały, nawet zaciekawionego spojrzenia.

Witaj po mrocznej stronie miłości.

Znowu wychodzisz bez słowa. Tym razem jednak nie z lęku przed skrzepowaniem. Tym razem dlatego, że jesteś chciwy i zawstydzony, dlatego że chcesz dziecka, potrzebujesz dziecka, a z drugiej strony nie możesz w tym momencie znieść siebie; nie możesz zostać tam ani chwili dłużej, napawając się swoją dominacją.

Odbywają się królewskie zaślubiny. Nagle ta dziewczyna z gminu, ta córka młynarza staje się gwiazdą, nagle jej twarz zaczyna zdobić wszystko, od chorągiewek po pamiątkowe kubki do kawy.

I wygląda jak królowa. Jej świetlista bladość, jej ciemne, inteligentne oczy prezentują się w każdym calu tak królewsko, jak to tylko konieczne.

Rok później, gdy przychodzi na świat pierwsze dziecko, syn, udajesz się do pałacu.

Zastanawiałeś się, czy nie machnąć na to ręką – oczywiście, że tak – ale po tylu nieprzespanych nocach, gdy rozmyślałeś o czekającym cię życiu, powrót do pogłębionej samotności i beznadziei, w których przeżyłeś cały rok (ludzie próbowali ci sprzedawać breloczki i medaliony z jej wizerunkiem, przypuszczając, co nie



dziwi, że jesteś zwyczajnym klientem – ty, który nosisz pod koszulą sznur granatów, który nosisz na palcu srebrny pierścień)...

Nie możesz machnąć na to ręką po tylu latach udręki wywołanej ograniczeniami własnej twarzy i ciała. Przed tamtymi nocami przy kołowrotku żadna dziewczyna nie pozwoliła ci się zbliżyć na tyle, byś mógł poczuć, że masz w sobie pokłady dowcipu, uroku i dobroci i że byłbyś pożądanym, cieszyłbyś się powodzeniem, gdybyś tylko...

Ani ciotka Farfalinda, ani najstarsze i najbardziej czczone księgi nie mają nic do powiedzenia o przemianie gnomów w prostych jak struna, urodziwych mężczyzn. Ciotka Farfalinda wyznała ci tym swoim cichym grzechotem, w jaki z czasem przeszedł jej głos, że magia ma swoje ograniczenia, że ciało przez stulecia okazywało się podatne na wszelkiego rodzaju dolegliwości, ale nigdy nawet najpotężniejszym czarodziejom nie udało się go usprawnić.

Idziesz do pałacu.

Nietrudno jest uzyskać posłuchanie u króla i królowej. Jednym ze zwyczajów, tak starych i tak głęboko zakorzenionych w świadomości ludu, że nawet ten monarcha nie odważył się go znieść, są cotygodniowe środowe audiencje, dzięki którym każdy obywatel, jeśli ma takie życzenie, może przybyć do sali tronowej i złożyć skargę.

Nie jesteś pierwszy w kolejce. Czekasz, aż korpulentna dziewczka zrelacjonuje, że w jej okolicy za sprawą czarów kozy chodzą na tylnych nogach i włączają do chat, jakby były ich właścicielkami. Czekasz, aż staruszek skończy protestować przeciwko nowemu podatkowi, którym obciążono każdego mieszkańca królestwa powyżej osiemdziesiątego roku życia – w ten sposób król przejmuje to, co w przeciwnym razie dostałoby się spadkobiercom leciwego poddanego.

Gdy stoisz w kolejce, widzisz, że królowa cię zauważyła.

Na tronie wygląda w pełni naturalnie, całkiem jak jej wizerunek na chorągiewkach, kubkach i breloczkach. Zauważyła cię, ale w wyrazie jej twarzy nie zaznaczają się żadne zmiany. Z udawanym jak zwykle zainteresowaniem słucha wieśniaczki, której kozy zasiadają przy stole do kolacji razem z jej rodziną, i starca,

który nie chce, żeby przed śmiercią jego majątek został wydrenowany do ostatniego grosza. Powszechnie wiadomo, że te skargi u króla i królowej nigdy nie przynoszą żadnych efektów. Mimo to ludzie chcą przychodzić, chcą, żeby ich wysłuchano.

Czekając, zauważasz ojca królowej, młynarza (eksmłynarza), siedzącego wśród dworzan, w trójgraniastym kapeluszu i kołnierzu z gronostajów. Spogląda na kolejkę zgromadzonych interesantów z pogardą majątnej ciotki, wyniośle, z wyrazem sentymentalnej świątobliwości – ten niedawno jeszcze bankrut, który zaryzykował życie własnej córki i któremu tylko dzięki tobie udało się wygrać.

Gdy przychodzi twoja kolej, kłaniasz się królewskiej parze. Król posyła ci z roztargnieniem tradycyjne skinienie. Jego głowa równie dobrze mogłaby być wyrzeźbiona w marmurze. Oczy są lodowato błękitne pod brzegiem wysadzanej klejnotami korony. Może już za życia stał się swoją kamienną wersją, którą ułoży się na wieku sarkofagu.

– Najjaśniejsza pani – mówisz – myślę, że wiesz, w jakiej sprawie przychodzę.

Król rzuca żonie pełne dezaprobaty spojrzenie. Na jego twarzy próżno by szukać śladu wątpliwości. Z miejsca odrzuca możliwość, że jest niewinna. Zastanawia się tylko, co takiego przeszkrobała.

Królowa kiwa głową. Nie potrafisz odczytać, jakie myśli przemykają jej przez głowę. Najwyraźniej przez ostatni rok nauczyła się powlekać oblicze maską królewskiej nieprzeniknioności, czego nie umiała, gdy przedłeś dla niej złoto ze słomy.

– Zastanów się jeszcze – prosi.

Nie zamierzasz się już zastanawiać. Może byłbyś do tego skłonny wcześniej, zanim się stawiałeś przed tymi dwojgiem, tym despotycznym ignorantem i dziewczyną, która zgodziła się za niego wyjść.

Przypominasz, że coś ci przyrzekła. I nic już nie dodajesz. Królowa zerka na męża i nie potrafi dłużej ukryć niepewności córki młynarza.

Zwraca się znowu do ciebie.

– Sytuacja jest niezręczna – zauważa.

Wahasz się. Targają tobą sprzeczne emocje. Rozumiesz, w jakim znalazła się

położeniu. Zależy ci na niej. Kochasz ją. Przypuszczalnie to właśnie beznadziejna żarliwość twojej miłości każe ci stać nieruchomo, nie godzić się na odmowę z ust tej, która z jednej strony zaszła tak niebywale wysoko, a z drugiej przystała na coś, co musi być, w najlepszym przypadku, zimnym i brutalnym małżeństwem. Nie możesz po prostu dać za wygraną i odejść. Nie możesz pozwolić się tak upokorzyć, nie zmusisz się do tego.

Przecież nie zależy jej na tobie. Jesteś ot kimś, kto kiedyś wyświadczył jej przysługę. Nie wie nawet, jak masz na imię.

Z tą myślą postanawiasz zaproponować kompromis.

Powiadasz, że królowa ma trzy dni na odgadnięcie twojego imienia – trzy w duchu męzowskiej fiksacji na punkcie tej liczby. I jeśli jej się uda, jeśli w ciągu trzech dni odgadnie twoje imię, umowa zostanie unieważniona.

Jeśli nie...

Oczywiście nie mówisz tego na głos, ale w przeciwnym razie wychowasz chłopczyka na leśnej polanie. Nauczysz go botanicznych nazw drzew i tajemnych nazw zwierząt. Zaznajomisz go z arkanami sztuki dobroci i cierpliwości. I będziesz wypatrywał w tym chłopcu śladów jej urody – może w wielkich ciemnych sadzawkach oczu lub lekko przerysowanej, arystokratycznej linii nosa.

Królowa wyraża zgodę skinieniem głowy. Król marszczy brwi. Nie może jednak zadać żadnych pytań, nie tutaj, nie przed ustawionymi w kolejce petentami. Nie może im pokazać, że jest skonsternowany, niedoinformowany, zmanipulowany.

Znowu się kłaniasz i na tyle wyprostowany, na ile pozwala twój skręcony kręgosłup, wychodzisz z sali tronowej.

Nigdy się nie dowiesz, co zaszło między królem i królową, gdy zostali sami. Masz nadzieję, że do wszystkiego się przyznała i oświadczyła, że raz złożonego przyrzeczenia złamać nie można. Wyobrażasz sobie nawet – posuwasz się aż do tego – że cię broni, bo przecież dałeś jej szansę na wyjście z opresji.

Podejrzewasz jednak, że wciąż czuje się zagrożona – nie może mieć pewności, że mąż wybaczy jej tę próbę wmówienia mu, jakoby samodzielnie wyprzedła złoto ze słomy. Na dobrą sprawę stała się zbędna, wydawszy na świat męskiego potomka.

Przyściśnięta do muru prawdopodobnie wymyśliła więc... jakąś bajeczkę o czarach i klątwach, jakąś historyjkę, w której ty, karzełek, jesteś wszystkiemu winien.

Na myśl o tej ewentualności chciałbyś poczuć złość w czystszej postaci. Wolałbyś nie współczuć jej, ani trochę, w trudnym położeniu, w jakie się wpędziła.

A zatem jest to miłość. Doświadczenie, z którego od tak dawna czuleś się wygnany. Ten gniew połączony z empatią; to jednoczesne pragnienie podziwu i zwycięstwa.

Wolałbyś, aby to było dla ciebie bardziej nieprzyjemne. A w każdym razie tak nieprzyjemne, jakie jest w rzeczywistości.

Królowa rozsyła po całym królestwie posłańców, ażeby się dowiedzieli, jak brzmi twoje imię. Wiesz, jak płonne są to wysiłki. Mieszkasz w chacie wyżłobionej w drzewie, tak daleko w głębi lasu, że żaden podróżnik ani wędrowiec nigdy się tam nie zapuścił. Nie masz przyjaciół, a twoi krewni mieszkają nie tylko daleko, ale i w miejscach równie zakamuflowanych jak twoje (przykładowo do maleńkiej groty ciotki Farfalindy można się dostać jedynie po przepłynięciu piętnastu metrów pod wodą). Nie jesteś nigdzie zarejestrowany. Nigdy niczego nie podpisałeś.

Wracasz do zamku następnego dnia, a potem jeszcze raz. Król rzuca ci spode łba mordercze spojrzenia (jaką historyjkę ostatecznie usłyszał?), gdy królowa wymienia na chybił trafił całą litanie imion.

Athalos? Borin? Kasjusz? Cedrik? Destrain? Fendrel? Hadrian? Gawin? Grzegorz? Leif? Merak? Rowan? Rulf? Sadon? Tybalt? Ksalwador? Zane?

Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie i nie.

Dobra nasza.

I wtedy, w nocy po drugim dniu, popełniasz fatalny błąd. Później będziesz się zastanawiał: Dlaczego rozpałiłem ognisko przed swoją drzewną chatą, dlaczego odtańczyłem ten taniec i odśpiewałem tę piosenkę? Wtedy wydawało ci się to zupełnie nieszkodliwe i byłeś taki szczęśliwy, tak bardzo pewny swego. Siedząc w swoim salonie, rozważałeś, gdzie wstawić kołyskę, zastanawiałaś się, kto cię nauczy zmieniać pieluchy, wyobrażałeś sobie twarz dziecka, gdy spogląda na ciebie i mówi: Tata.

To nie do zniesienia, takie samotne przesiadywanie w czterech ścianach. Trzeba ci czegoś więcej. Wybiegasz w czerń leśnej nocy, przy wtórce cykania owadów i pohukiwań sów z oddali. Rozpalasz ognisko. Raczysz się dużym piwem, a potem jeszcze jednym.

I wygląda na to, że tańczysz wokół ogniska, jakby wbrew własnej woli. Wygląda na to, że ułożyłeś piosenkę.

*Dzisiaj będę warzył, jutro będę smażył,  
A pojutrze odda mi królowa dziecię!  
Bo nikt nie wie o tym...\**

Jakie jest prawdopodobieństwo, że najmłodszy z posłańców królowej, ten najbardziej spragniony awansu, ten, któremu groziło zwolnienie (przekazuje wiadomości zbyt emocjonalnie, zbyt teatralnie, za nisko się kłania, działa królowi na nerwy)... jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat ten młody huncwot, wiedząc, że przeczesano już każdy centymetr kwadratowy ucywilizowanej części królestwa, że zapukano do wszystkich drzwi, postanowi tej nocy przejść się do lasu, sam nie wiedząc, czy marnuje cenny czas, ale mając nadzieję, że może – może ten karzełek mieszka gdzieś poza utartymi szlakami...

Jakie jest prawdopodobieństwo, że dostrzeże twoje ognisko, przyczai się w paprociach i podsłucha piosenkę, którą śpiewasz?

Trzeciego i ostatniego popołudnia wracasz triumfalnie do zamku. Po raz pierwszy w życiu jesteś kimś, kto ma władzę, kto stanowi zagrożenie. Nareszcie nie można cię zlekceważyć ani zignorować.

Królowa wygląda na zdenerwowaną.

– A więc to moja ostatnia szansa – mówi.

Masz w sobie dość kurtuazji, żeby powstrzymać się od odpowiedzi.

– Brom? – pyta.

Nie.

– Leofryk?

Nie.

– Ulryk?

Nie.

Wtedy nadchodzi chwila – minichwila, najkrótszy wyobrażalny odcinek czasu – kiedy królowa zastanawia się, czy nie oddać ci dziecka. Wyczytujesz to z jej twarzy. W tejże chwili wie, że mogłaby cię uratować, tak jak ty kiedyś uratowałeś ją, wyobraża sobie, że rzuca wszystko i odchodzi z tobą i dzieckiem. Nie kocha cię, to niemożliwe, ale pamięta, jak stała w komnacie tamtej pierwszej nocy, gdy słoma zaczęła zamieniać się w złoto – gdy rozumiała, że na nieprawdopodobną sytuację znalazło się nieprawdopodobne remedium i gdy w roztargnieniu położyła dłoń na twoim guzowatym ramieniu obleczonym w szorstki materiał... Myśli (szast, zanim skończysz czytać „szast”, ta myśl już zniknie), że mogłaby zostawić bezdusznego męża, że mogłaby zamieszkać w lesie z tobą i dzieckiem...

*Szast.*

Król rzuca jej arktyczne spojrzenie. Ona zerka na ciebie ciemnymi oczyma, chciwymi, nieruchomymi, wygina szyję w łuk, odciąga do tyłu ramiona.

Wypowiada twoje imię.

To niemożliwe.

Twarz króla rozciąga zwycięski, wilczy uśmiech. Królowa odwraca głowę.

Świat, który niebawem miał się odmienić, powraca do swej dawnej postaci. Odsłania się przed tobą, jest tobą, niczym więcej, oczami wyobraźni widzisz siebie, jak wybiegasz z sali tronowej, mkniesz przez miasto i wracasz do pustej chatki, która zawsze tam jest, zawsze tam była i czeka na ciebie.

Tupiesz prawą nogą. Tupiesz tak mocno, że wzbudzoną czarami siłą tak wielką, że stopa przebija marmurową posadzkę i zatapia się w niej aż po kostki.

Tupiesz lewą nogą. To samo. Stoisz teraz, drżąc, oszalały z wściekłości i rozczarowania, po kostki w zamkowej podłodze.

Królowa cały czas jest od ciebie odwrócona. Król wydaje z siebie salwę śmiechu, który jest dźwiękiem czystej pogardy.

I wtedy rozdzierasz się na pół.

To najdziwniejsze uczucie, jakie można sobie wyobrazić. Jak gdyby pas niewidzialnej taśmy, która cię do tej pory sklejała od czoła po krocze, został nagle zerwany. Nie boli bardziej niż ściągnięcie opatrunku. A potem padasz na kolana i patrzysz na siebie, podwójnie, obaj jesteście pochyleni do przodu, robisz wielkie oczy na tego, który robi wielkie oczy na ciebie, gdy robisz wielkie oczy na tego, który robi wielkie oczy na ciebie...

Królowa bez słowa daje znak dwóm strażnikom i ci podnoszą cię w dwóch kawałkach z podłogi, w której ugrzązłeś, po czym wynoszą cię z komnaty, każdy po jednej części. Zabierają cię do twojej leśnej chatki i tam cię zostawiają.

Jest was teraz dwóch. Żaden nie jest samowystarczalny, ale z czasem uczycie się łączyć obie połówki i w ten sposób się poruszacie. Jesteście się w stanie przemieścić z miejsca w miejsce, ale są pewne ograniczenia co do tego, jak daleko możecie zejść. Każda połowa, co naturalne, wymaga współpracy drugiej i często łapiasz się na tym, że jesteś wobec siebie opryskliwy, przeklinasz się za swoją nieporadność, nadgorliwość, nieliczenie się z drugą połówką. Czujesz to podwójnie. Mimo to jakoś sobie radzicie. Mimo to stawiacie wspólnie kroki, powoli i ostrożnie poruszacie się po schodach, przy czym upominacie, ostrzegacie jeden drugiego, prosicie się nawzajem, żeby zwolnić, przyspieszyć albo chwilę zaczekać. Cóż innego wam pozostało? Jeden bez drugiego byłby bezradny. Zdany tylko na własne siły, rozplaszczony na ziemi, porzucony, osierocony.

---

\* Fragment baśni *Titelitur* braci Grimm w przekładzie Marcellego Tarnowskiego.

# OŁOWIANY, DZIELNY

Tej nocy uśmiechnęło się do niego szczęście. Uległa – po dwóch latach powściągliwej i chłodnej życzliwości. W końcu wisienki ukazały się we wszystkich trzech okienkach automatu. Podczas imprezy zorganizowanej w jego akademiku (w kalendarzu jest wiosna, ale wiatr wciąż ostro zacina od jeziora, trawa wciąż jest sucha) wypła trochę więcej, niż zamierzała, bo właśnie rzucił ją chłopak, w którym była zakochana, tak jej się przynajmniej wydawało – chłopak, który odchodząc, zabrał ze sobą jej pierwsze wyobrażenia o spójnej i przekonującej przyszłości.

Na imprezie najlepsza przyjaciółka szepcze jej do ucha: *Bierz się do tego kolesia, daj mu szansę, i sobie też, on wzdycha do ciebie już drugi rok, nie zauważyłaś? A zresztą – mówi jej na ucho – na dzisiejszą noc potrzebujesz akurat kogoś takiego, jest sexy i do tego nie za bystry, to część twojego programu rehabilitacyjnego, to twoje wakacje od tego sukinsyna, twojego eksa, weź tego bidulka na jazdę próbną, od razu poczujesz się lepiej, musisz się trochę, jak to ująć... zdekompresować.*

Pociągają go niedostępne dziewczyny, nieosiągalne dziewczyny, dziewczyny obojętne na to, że jest chłopakiem jak spod dłuta Michała Anioła, jedną z tych nadzwyczajnych istot, które noszą swoją urodę, jak gdyby była powszechnym ludzkim stanem, a nie aberracją. Niedostępna i nieosiągalna dziewczyna to dla niego rarytas.

Na górze, w swoim pokoju, rozpiął jej bluzkę, pieści jej krocze, co sprawia jej



przyjemność, ale tylko przyjemność. Miała rację, odkąd po raz pierwszy wymienili spojrzenia na „wstępie do nauk humanistycznych” – ci hiperpewni siebie przystojniacy nigdy nie są w tym naprawdę dobrzy, zresztą nigdy nie musieli, otrzymawszy wykształcenie z rąk dziewczyn zbyt obozwardnionych wdzięcznością, zbyt w nich rozkochanych; dziewczyn, które niczego porządnie ich nie nauczyły. Te mało finezyjne pieszczoty, te niezbyt wprawne pocałunki wystarczały prostym i zadurzonym panienkom, których główną misją było zatrzymanie go przy sobie. Przespał się pewnie z setką, jeśli nie więcej, i najwyraźniej żadna z tych dziuń nie zdobyła się na nic więcej niż zwykłą współpracę – niż przekonanie go, że cały czas miał rację co do tego, czego pragnie, czego potrzebuje dziewczyna.



Ona nie jest aż tak cierpliwa. Nie jest aż tak zainteresowana.

Wysuwa się więc z jego objęć i rozbiera z szybkością, mechaniczną swobodą kolegi z szatni.

O? No, nieźle. To dla niego novum, takie rzeczowe podejście pod hasłem „Przejdźmy od razu do konkretów”.

Co znaczy, że nie miał czasu jej przygotować, speszony uczynić wyznania, które sprawdzało się za każdym razem, odkąd zaczął studia.

Skonsternowany, oszołomiony też się rozbiera. Nic innego nie przychodzi mu do głowy.

I w ten oto sposób pojawia się niezapowiedziana.

– Proteza.

To wszystko, co jest w stanie powiedzieć.

Odpina ją, odrzuca niedbale, bezdusznie na podłogę.

Jego prawa noga kończy się tuż nad kolaniem.

Wypadek samochodowy, tłumaczy. Gdy miał siedemnaście lat. Wakacje po skończeniu liceum.

Odrzucona dolna część nogi leży na podłodze. Sama wygląda jak pozostałość po wypadku: plastikowa łydka w kolorze ciała zwężająca się na wysokości kostki i wyrastająca z niej stopa bez palców.

Chłopak staje przed dziewczyną. Nie ma problemu z utrzymaniem równowagi na jednej nodze.

Opowiada jej – zawsze opowiada tę historię, każdej – że ten drugi samochód, właśnie skradziony, prowadził piętnastolatek, którego ścigała policja. Ważne jest dla niego to, że on w niczym nie zawinił, że nogę odebrał mu ten młody bandzior, ten – nie przymierzając – demon.

Dziewczyna potrzebuje chwili, żeby w pełni do niej dotarł brak nogi. Jego ciało, od szerokich barków farmera po mięśnie brzucha jak rzędy upraw na polu, jest nieskazitelne, tak jak się spodziewała.

Jest jednak okaleczony. Od tamtego wypadku samochodowego, który go dopadł tuż po liceum, z wieńcem laurowym na głowie, bez skazy, blefował. Wydaje się, że

jakiś diabeł wypowiedział puentę, zanim żart został odpowiednio nakreślony, i że ten żart, na swoim początkowym etapie (nie ma czasu na gadającego psa, rabina ani szalony zakład), może zwieńczyć tylko surrealistyczny i makabryczny finał.

*Więc wchodzi do baru superprzystojny gość... Następuje wybuch i wszyscy giną.*

Brawura, która nigdy jej się u niego nie podobała, łobuzerska arogancja, która ją zniechęcała, okazuje się pozorem, sposobem radzenia sobie z problemem. Odgrywał karykaturalnie zuchwałą wersję siebie, bo musiał.

Chłopak rozumie krzywdę tak, jak rozumie ją kobieta. I w sposób właściwy kobiecie potrafi się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało.

Czasem tkanina, która nas rozdziela, nadrywa się na tyle, żeby zaczęła prześwitywać miłość. Czasem to naderwanie jest zaskakująco małe.

Dziewczyna poślubia nie tylko mężczyznę, ale i niekonsekwencję; zakochuje się w rozbieżności między jego urodą i kalectwem.

On żeni się z pierwszą dziewczyną, która nie traktowała jego amputacji, jak gdyby to było nic wielkiego – pierwszą, która nie musi pomijać milczeniem jego smutku i złości albo, co gorsza, próbować mu ich wyperswadować.

Niespodzianki pojawiają się w swoim czasie.

Po ślubie, gdy nawarstwiają się kolejne lata, zaskakuje go, jak często jej wstępn do sentymentalizmu wydobywa z niej chłód i okrucieństwo; zaskakuje go upór, z jakim każe mu nazywać to „szczerością”. Jak ma się spierać z osobą, która żąda, aby każde jej potknięcie lub słabość traktować jako zaletę, jako godną podziwu cechę, której on nie chce dostrzec?

Ją zaskakuje to, jak szybko jego niewymuszenie olśniewająca uroda przechodzi w urok uśmiechniętego, przeciętnego sprzedawcy samochodów – zaskakuje ją sam fakt, że został samochodowym dilerem, oraz to, w jaki sposób jego cięższe, bardziej zwaliste ciało sprawia, że nie wygląda już jak ofiara złożona w celu obłaskawienia zazdrosnego boga, raczej jak zwyczajny optymista, który tylko stracił nogę.

Jego zaskakuje, jak samotnie potrafi się niekiedy czuć w jej obecności, ją zaś – z jakim trudem przychodzi jej utrzymanie zainteresowania. Jej słabnąca uwaga napędza jego osamotnienie. Jego osamotnienie skłania go, aby być jeszcze bardziej

sympatycznym, jeszcze bardziej desperacko czarującym, co tylko przytępia jej zainteresowanie. To nie jest dobry znak, gdy żona słyszy siebie, jak mówi w restauracji, gdzie jedzą kolację: „Na litość boską, przestań się zachowywać, jak gdybyś próbował mi sprzedać *samochód*”. To nie jest dobry znak, kiedy mąż nawiązuje romans z naiwną dziewczyną, która spija z ust każde jego słowo i śmieje się (może trochę zbyt histerycznie) ze wszystkich jego dowcipów.

Ci dwoje pozostają jednak małżeństwem. Pozostają małżeństwem, bo ona wzięła urlop macierzyński, gdy urodził się Trevor, i chociaż miała takie plany, nie wróciła do firmy prawniczej – nie spodziewała się tak bezgranicznego zafascynowania swoim synkiem. Pozostają małżeństwem, bo remont kuchni ciągnie się w nieskończoność, bo oprócz Trevora teraz jest jeszcze Beth, bo przecież to małżeństwo nie jest aż tak złe, bo wyplątanie się z niego wydaje się tak trudne, tak przerażające, tak smutne. Mogą się rozstać, gdy już wyremontują kuchnię, gdy dzieci będą trochę starsze, gdy jako para zostawią za sobą królestwo irytacji i sprzeczek i dotrą do skutego lodem pustkowiecia nieznośności.

Mają nadzieję, że nauczą się razem być bardziej szczęśliwi. Czasem też tęsknią do momentu, gdy ich udręka osiągnie taką intensywność, że nie będą mieli innego wyjścia.

*I co, myszko, podobała ci się bajka?*

*Tak sobie.*

*Czekałam z nią, aż będziesz trochę starsza.*

*Starsza?*

*Hm, osiem lat to niedużo, ale wiesz, więcej niż sześć. Dlaczego ci się nie podobała?*

*Nie cierpię, kiedy mnie o to pytasz. Mówiłam, że była taka sobie.*

*Dobrze, w takim razie ujmijmy to trochę inaczej. Co ci się w niej nie podobało?*

*Mogę już iść?*

*Za chwilę. Odpowiedz najpierw na pytanie, dobrze?*

*Nie przeczytałaś tej bajki Trevorowi. Trevor jest na dworze, gra sobie w piłkę.*

*Chciałam ją przeczytać przede wszystkim tobie. Co ci się w niej nie podobało?*

*No dobra. Dlaczego ten żołnierz miał tylko jedną nogę?*

*Zabawkarzowi skończył się ołów.*

*Żołnierz zakochał się w baletnicy, bo myślał, że ona też ma jedną nogę. To mi się wydawało trochę głupie.*

*Widział tylko jedną. Druga była podniesiona z tyłu.*

*Ale on tego nie wiedział? Nigdy wcześniej nie widział baletnicy?*

*Może nie wiedział. A może to było takie pobożne życzenie. Gdybyś miała tylko jedną nogę, nie chciałabyś spotkać innych podobnych do siebie?*

*Bez sensu.*

*Co?*

*Żołnierz wypada przez okno, jakieś łobuzy wsadzają go do łódki zrobionej z gazety i płynię rynsztokiem.*

*Mnie to się wydaje całkiem sensowne.*

*Ale potem zostaje połknięty przez rybę i tę rybę kupuje kucharka tej samej rodziny i gdy kucharka ją rozkrawa, w środku jest żołnierz.*

*Dlaczego ci się to nie podobało?*

*Eee, bo to głupie?*

*Chodzi o przeznaczenie. Wiesz, co znaczy „przeznaczenie”?*

*Tak.*

*Żołnierzyka i baletnicy nie można było rozdzielić. To jest przeznaczenie.*

*Wiem, co to znaczy. Ale to i tak głupie.*

*Może znalazłybyśmy jakieś inne słowo...*

*A potem ten chłopiec wrzuca żołnierzyka w ogień. Bez powodu. Po tym jak wrócił w brzuchu ryby. Wrzuca go do pieca.*

*Diabełek rzucił na chłopca czar.*

*Nie ma czegoś takiego jak diabełki.*

*Zgoda. No dobrze, powiedzmy, że nie podobało mu się, że żołnierz jest inny.*

*Zawsze mówisz „inny”, jeśli ktoś nie jest całkiem normalny.*

*Nie przepadam za tym określeniem, że „ktoś nie jest całkiem normalny”.*

*A potem... Wiesz, co było naprawdę głupie? Że baletnicę też zwiewa w ogień.*

*Mogłybyśmy porozmawiać o tym, co to naprawdę jest „przeznaczenie”?*

*Baletnica miała obie nogi. Stała na półce. Baletnica nie była „inna”.*

*Ale kochała kogoś takiego.*

*Wielka mi rzecz, że ktoś jest inny. Mówisz o tym tak, jakby to była jakaś nagroda.*

W małżeństwie po dwudziestu latach następuje punkt zwrotny, gdy na łodzi wybucha pożar.

Dzieje się to podczas pierwszej podróży, w którą się wybrali jako para, odkąd urodziły im się dzieci. Trevor jest na pierwszym roku w Haverford College, Beth zaczyna liceum – właściwie są już dorosłymi ludźmi. A zdaniem agenta nieruchomości za dom z tak pieczołowicie wyremontowaną kuchnią mogliby dostać majątek.

Wokół nich ulatniają się wszystkie powody, aby być razem. Postanawiają wyjechać na coś w rodzaju wakacji „dla poratowania małżeństwa”, co zwykle oznacza, że małżeństwo jest już martwe.

Wycarterowana żaglówka z dziesięcioma pasażerami i trzyosobową załogą staje w płomieniach niedaleko wybrzeża Chorwacji. Potem się dowiedzą o pijanym członku załogi, o zapalniczce marki Zippo, o nieszczelnym zbiorniku z propanem.

W jednej chwili opalają się na pokładzie. Zauważyła chmurę, która wygląda jak profil Roosevelta, i pokazuje mu ją, myśląc, że to właśnie robią szczęśliwe pary – mając nadzieję, że imitacja szczęścia przerodzi się w pierwowzór. Pomaga im, jak się zdaje, że spędzają dwa tygodnie na ograniczonej przestrzeni z jedenastoma obcymi osobami, że słyszeli, jak Eva Balderston mówi do swojej siostry Carrie: „Jaka z nich cudowna para”, gdy wstali od kolacji poprzedniego wieczoru, i że nie stracili wiary.

On usiłuje dostrzec w chmurze profil Roosevelta. Ona stara się nie przejmować tym, że mąż najwyraźniej go nie widzi, gdy w sposób tak oczywisty jest widoczny. Usiłuje nie dopuszczać do siebie myśli o tym wszystkim, czego jeszcze mąż nie dostrzega na świecie. On tłumy narastającą panikę na myśl, że znów ją zawiódł. Ma

już na końcu języka: „Ach tak, racja, coś niesamowitego”, gdy w rzeczywistości widzi tylko zwykłą chmurę...

W następnej chwili żona jest już w wodzie. Wie, że rozległ się huk, wie, że oślepił ją gorący blask, ale to dociera do niej jako wspomnienie. Natychmiast zadomawia się w nowej, nieprawdopodobnej rzeczywistości i przez chwilę wydaje się, jak gdyby zawsze poruszała się w morskiej wodzie, tej szyderczo spokojnej niebieskozielonej połaci, na której, w odległości jakichś trzydziestu metrów, zawieszona w płomieniach czernieje sylwetka łodzi, niczym szkielet na pomarańczowym ekranie rentgenowskim.

Chwilę potem zaczyna się przebijać rzeczywistość.

Doszło do wybuchu. Wygląda na to, że wyrzuciło ją z pokładu daleko. Ból w lewym ramieniu pochodzi od długiego i precyzyjnego rozcięcia, jak brzeg szarej koperty. Myśl o krwi i rekinach przychodzi jej do głowy jako fakt, ale tylko jako fakt, zapamiętana dawno ciekawostka, nie jako coś, co stanowiłoby rzeczywiste zagrożenie. Jak gdyby przypominała sobie zasłyszaną anegdotę o czymś strasznym, co przytrafiło się kobiecie takiej jak ona.

Otoczają ją dziwnie przypadkowe przedmioty unoszące się na wodzie: kawałek masztu zakończony gałką, czapeczka baseballowa, pusta puszką po dietetycznej coli.

Nie widzi nikogo innego.

Uzmysławia sobie, gdy łódź zaczyna z sykiem zanurzać się w toń, że on nie najlepiej radzi sobie z pływaniem. Ignorował zapewnienia fizykoterapeuty, że to najlepsze ćwiczenie dla osoby po amputacji.

Ze zdziwieniem stwierdza, że budzi się w niej złość na niego. Irytacja przechodzi, a ona znowu rozgląda się dookoła, jak gdyby zbudziła się w obcym miejscu, nie widząc nikogo prócz siebie.

Ten stan wywołanego szokiem oddalenia utrzymuje się, gdy pływa w miejscu, nie wiedząc, co innego mogłaby robić, nie opuszcza jej, gdy ciemnowłosy mężczyzna, niemówiący po angielsku, zakłada jej uprząż, dzięki której wyciągają ją z wody, i później, gdy leży przypięta pasami do noszy w helikopterze, z kołnierzem ortopedycznym, w którym może oglądać tylko dwa zawieszane na pasach akwalungi



i białą metalową skrzynkę ozdobioną czerwonym krzyżem.

Czerwony krzyż oznacza w jakiś sposób (to wydaje się jasne, chociaż niepojęte), że jej mąż nie żyje. Zaskakuje ją (nie opuściło jej jeszcze całkowicie to pełne konsternacji otępienie spowodowane szokiem) przesywające, nieludzkie wycie, który słyszy. Nie miała pojęcia, że jest w stanie wydobyć z siebie taki dźwięk.

Nie zdoła wytłumaczyć, bo nie będzie niczego pamiętał, jak to się stało, że niemal całą dobę po tym, gdy na łodzi wybuchł pożar, leżał w płyciźnie na piaszczystej plaży. Sanitariusze, którzy zabierają go do skromnego lokalnego szpitala, powiedzą jedynie po angielsku: *Miracle*, co z ich akcentem będzie brzmiało: „Mi-ro-kul”.

Natychmiast ją do niego przywożą. Gdy żona wchodzi do szpitalnej sali, on spogląda na nią z czystym, mnisim spokojem, a potem zaczyna płakać tak głośno i niepoohamowanie jak trzylatek.

Kobieta kładzie się obok niego na wąskim łóżku i obejmuje go. Oboje rozumieją. Odwiedzili przyszłość, w której dla każdego z nich zabrakło drugiej połowy. Zasmakowali rozłąki. A teraz wrócili do terażniejszości, gdzie nastąpiło zmartwychwstanie. Od tej pory są poślubieni sobie na zawsze.

*Pamiętasz tamtą bajkę, którą mi czytałaś?*

*Jaką bajkę? Hej, chyba nie pakujesz bluzy z Britney Spears?*

*Jestem przywiązana do mojej bluzy z Britney. No wiesz, tamtą.*

*Czytałam ci setki bajek. Ostatni raz nosiłaś tę bluzę, kiedy miałaś piętnaście lat.*

*O żołnierzyku z jedną nogą.*

*Ach, tak. Dlaczego teraz do tego wracasz?*

*Może dlatego, że was opuszczam.*

*Wcale nie. Zaczynasz tylko studia w innym stanie. Raptem sześć godzin jazdy samochodem. To zawsze będzie twój dom.*

*Nie będę nosić bluzy z Britney, chyba nie myślisz, że jestem aż taką szajbuską.*

*Więc co z tym żołnierzykiem?*

*Wiedziałam, co robisz. Pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć. Że wiedziałam. Teraz, kiedy wyjeżdżam z domu.*

*I co takiego według ciebie robiłam, skarbie?*

*Jak to co? Opowiadałaś mi o sobie i o tacie.*

*Skoro nie zamierzasz nosić tej bluzy, to po co ją w ogóle zabierasz?*

*Z powodów sentymentalnych. Pamiątka po moich złotych latach.*

*Twoje złote lata dopiero przed tobą.*

*Tak się tylko mówi. Co chciałaś mi przekazać, czytając tę bajkę?*

*Wątpię, żebym próbowała coś przekazać. To była tylko bajka.*

*To była tylko jedyna bajka, jaka istnieje, o kimś, kto nie ma nogi, a potem wlatuje za nim w ogień papierowa baletnica.*

*Naprawdę sądzisz, że próbowałam w ten sposób coś ci przekazać o mnie i o tacie?*

*Pamiętam, jak mnie pytałaś, czy wiem, co to jest „przeznaczenie”.*

*Pewnie się zastanawiałam... czy się martwisz. O tatę i o mnie.*

*Zakurwiście się martwiłam, żebyś wiedziała.*

*Nie przepadam za tym słowem.*

*Nigdy nie zauważyłaś, że wiemy z Trevorem, jak bardzo jesteście oboje nieszczęśliwi. Chociaż teraz mam wrażenie, że się między wami poprawiło.*

*Zostaw tę bluzę tutaj, dobrze?*

*Potrafię o nią zadbać, sama, w swoim pokoju w akademiku. Ta bluza nie musi mieszkać w Oazie Bezpieczeństwa.*

*Naprawdę nie wiem, o czym my teraz rozmawiamy.*

*Rozmawiamy o papierowej baletnicy, która miała dwie całkiem sprawne nogi, ale i tak pofrunęła w ogień.*

*To niezbyt mądre pakować coś, czego się nie zamierza w ogóle nosić. W akademikach jest szalenie mało miejsca na przechowywanie rzeczy.*

*Dobra, zostawmy bluzę tutaj. Zostawmy wszystko tutaj.*

*Proszę cię, nie dramatyzuj.*

*Trevor wyjechał. Ja wyjeżdżam jutro.*

*I ciągle to powtarzasz, bo...*

*Ta bajka była przede wszystkim o papierowej baletnicy. Przeznaczenie kierowało żołnierzkiem, nie nią.*

*Chcesz, żebyśmy znowu przeczytały tę historię?*

*Wolałabym najeść się szkła.*

*No dobrze.*

*Zostawiam bluzę. Będzie tu bezpieczniejsza.*

*Świetnie. Miło usłyszeć, że jednak mam rację w jakiejś sprawie. Drobnej. Od czasu do czasu.*

Mają teraz po sześćdziesiąt kilka lat.

On wciąż sprzedaje samochody. Ona wróciła do pracy w kancelarii, wiedząc, że jest za stara, a z drugiej strony zbyt niedoświadczona, by awansować. Firma prosperuje na tyle nieźle, by znalazło się w niej miejsce dla całkiem kompetentnej, surowej, ale pełnej współczucia postaci „matki”. Jest tam nie tylko po to, żeby przygotowywać sprawy sądowe, ale też żeby prawić ironiczne złośliwości mężczyznom, których matki zwykle są wysztywnione, dystygowane i pogodne do tego stopnia, że ociera się to o szaleństwo.

Bardziej, niż się spodziewała, przeszkadza jej, że inni odbierają ją jako zgryźliwą, acz w uroczy sposób, starszą panią.

On martwi się wynikami sprzedaży. Nikt już nie chce amerykańskich samochodów.

Ci dwoje spędzają wieczór w domu, jak zresztą większość wieczorów.

On stał się jedynym, dla którego wciąż jest widzialna, który wie, że nie zawsze była stara. Beth i Trevor ją kochają, ale tak wyraźnie chcą, żeby była, teraz i od zawsze, babcina: solidna, nieszkodliwa i nieskończenie cierpliwa.

Następną czekającą ich niespodzianką jest zapewne podupadające zdrowie. Kolejną – śmiertelność, najpierw odejdzie jedno, potem drugie.

Terapeuta zachęca ją, żeby nie myślała w ten sposób, stara się więc.

Oto oni, w swoim salonie. Rozpalili w kominku. Film, który oglądali na wielkim ekranie telewizora, właśnie się skończył. Jego proteza (tytanowa, piękna na swój

sposób, zupełnie niepodobna do groteskowego substytutu w kolorze plastra z dawnych, studenckich czasów) stoi przy kominku. Gdy przesuwają się napisy końcowe, oni siedzą razem na sofie w kojącej atmosferze.

– Pewnie jestem niedzisiejsza, ale wciąż lubię filmy z happy endem – mówi ona.

On, wpatrując się w napisy, zadaje sobie pytanie: Czy i my doczekaliśmy się szczęśliwego zakończenia?

Wydaje się całkiem szczęśliwe, na swój skromny, rodzinny sposób. Zresztą tych happy endów przeżyli już kilka.

Jest tamta noc w akademiku, czterdzieści lat temu, kiedy się rozebrał i odsłonił kalectwo, którym został dotknięty, a ona nie twierdziła, tak jak wiele dziewcząt przed nią, że to nic takiego. Seks mieli dopiero następnej nocy, a wtedy on był w niej na wpół zakochany, bo patrząc na niego, umiała pojąć jego stratę.

To jeden z happy endów.

Jest jej wejście do szpitalnej sali i jego nagła, zaskakująca myśl, że nikogo nie pragnął zobaczyć tak bardzo jak jej. Że tylko ona może go stamtąd wyciągnąć i zabrać do domu.

Jest przyjęcie zaręczynowe Beth, kiedy Trevor ujawnił przed nim, że jest gejem, gdy zostali sami z brandy i cygarami – zdał sobie wtedy sprawę, że Trevor o swojej orientacji postanowił najpierw powiedzieć ojcu (czy zwykle nie jest tak, że najpierw mówi się matce lub siostrze?), dał mu szansę, żeby przytulił syna, drżącego i przerażonego, żeby go zapewnił, że to nie ma dla niego znaczenia, żeby poczuł głowę zatroskanego syna wtuloną z wdzięcznością w swoją pierś.

Kolejny happy end.

Mógłby wymienić dziesiątki innych. Wyprawę pod namioty, kiedy zrozumiał, gdy promienie wschodzącego słońca rozświetliły górę Half Dome, że czteroletnia Beth po raz pierwszy w życiu uświadamia sobie przeraźliwą czystość piękna. Nagłą ulewę, która zmoczyła ich wszystkich tak bardzo, że zaczęli tańczyć we czwórkę w deszczu i rozbryzgiwać kałuże.

Jest jeszcze ta wiadomość od Beth, selfie przysłane niespełna godzinę temu, ona i jej mąż, Dan, z głowami zbliżonymi do siebie, uśmiechnięci do iPhone'a Beth,

w kuchni w zwyczajny wieczór (dziecko pewnie już zasnęło), z krótkim podpisem: „Buziaki”.

Nikt nie wymagał od Beth, żeby wysłała tę wiadomość, nie w powszedni wieczór bez żadnej okazji. Nie spełniała niczyich oczekiwań. Po prostu chciała pokazać ojcu i matce siebie, siebie i męża, żeby wiedzieli, gdzie jest i z kim. Wydaje się, że to dla niej ważne, dla ich młodszego dziecka, tego bardziej drażliwego i kłótliwego. Wydaje się, że w wieku dwudziestu czterech lat jest szczęśliwa w małżeństwie (proszę cię, Beth, pozostań szczęśliwa, nawet jeśli ten związek nie przetrwa); wydaje się, że nie chce, aby rodzice stracili ją z oczu. Wydaje się, że ich córka zdaje sobie sprawę (ona akurat na pewno) z nocy czających się w przyszłości, że nie można przewidzieć ich natury, ale teraz – to chyba nie najgorszy pomysł – chce się podzielić fragmentem tej nocy, kiedy jest młoda, zachwycona życiem, kiedy ona i Dan (kilkudniowy zarost, okulary, zadurzony w żonie może aż niebezpiecznie mocno) uśpili dziecko i przygotowują kolację w swoim za małym mieszkanku w New Haven.

Szczęśliwe zakończenia. Zbyt wiele, żeby je zliczyć.

Są jeszcze oni – siedzą na sofie, w kominku pali się ogień; jego żona mówi: „Czas do łóżka”, a on się zgadza, rzeczywiście pora się położyć, za kilka minut, gdy w kominku dopali się ogień.

Ona podnosi się, żeby przegrzebać w palenisku. Rozgarniając żarzące się węgielki, mogłaby przysiąc, że widzi... coś w gasnącym ogniu, coś małego i żywego, małą kulkę, która kojarzy jej się tylko z czymś żywym i chwilę później rozplywa się, zamienia w zwyczajny ogień.

Nie pyta męża, czy też to widział. Ale teraz już łączy ich telepatyczna więź na tyle silna, że mąż wie, iż powinien powiedzieć „tak”, choć nie ma najmniejszego pojęcia, czemu przytakuje.

# BESTIE

**S**potkałaś bestię. Stoi przed tobą w kolejce w sklepie całodobowym, kupuje fajki i kabanosa Slim Jim, flirtując z niezbyt rozbawioną jamajską kasjerką. Siedzi naprzeciwko w niedbałej pozie w metrze linii G do Brooklynu, a na jej żylastych przedramionach roi się od tatuaży. Bryluje – ordynarna, nakręcona kokainą, obraźliwie zabawna – na afterparty, które koniecznie chciała zaliczyć twoja kumpela, a ty z nią poszłaś, bo nie jesteś gotowa, jeszcze nie, stać się tą dziewczyną, która by w tej sytuacji odmówiła.

Niewykluczone, że w pewnym momencie oddajesz się bestii.

Bo masz już dość chłopaków, którzy chcą cię dobrze poznać, zanim się z tobą prześpią (tak, właśnie tego określenia używają – „przespać się”), chłopaków, którzy przepaszającym tonem pytają, czy przypadkiem nie doszli za szybko, i którzy dzwonią następnego dnia, żeby ci powiedzieć, jak świetnie się bawili.

Może też zaczynasz się martwić, że niedługo odjedzie pewien pociąg, chociaż chętnie wsiadłabyś do innego pociągu, którego stacją końcową jest małżeństwo i macierzyństwo, wiozącego pasażerów do zielonej i uporządkowanej krainy, skąd wraca niewielu, a ci nieliczni, którzy próbują wracać, odkrywają, że w czasie tych kilku, jak im się wydawało, godzin nieobecności w rodzinnym kraju minęło dwadzieścia lat, i na imprezach, które – mogliby przysiąc – jeszcze wczoraj albo przedwczoraj chciały ich, łąsiły się do nich, wskakiwały im na kolana, czują się jak żałośni, groteskowi desperaci.

A może dlatego, że wierzysz, naprawdę wierzysz, iż zdołasz naprawić krzywdy,

jakie wyrządzone temu neurotycznemu chudemu przystojniakowi z papierosami i kabanosem, temu smutasowi z metra, temu wygadaneemu cynikowi, który patrzy na innych, jak gdyby chciał spytać: *Jesteś frajerem czy kretynem?* Innych kategorii nie zna.

Piękna była najstarszą z trzech sióstr. Gdy ojciec wybierał się w interesach do miasta, i spytał córki, jakie im przywieźć prezenty, dwie młodsze zażyczyły sobie ozdóbek i fatałaszków. Pończoszek, halek, koronek i kokard.

Piękna natomiast poprosiła jedynie o różę, taką jak te, które można było uciąć z krzewów rosnących niecałe piętnaście metrów od domu.

Podtekst: Przywieź z podróży coś, co z łatwością mogłabym zdobyć tutaj. Moje pragnienie skarbu wyzute jest z chciwości, bo przecież sama mogłabym je zaspokoić, w ciągu kilku minut, z sekatorem w ręku. Cieszy mnie nie sam dar, lecz wysiłek; prośba o coś rzadkiego lub cennego może tylko zamienić ofiarność w zwykłe zakupy.

Czyżby mówiła przy okazji: *Naprawdę wyobrażasz sobie, że kiecka lub kokarda załatwi sprawę? Myślisz, że to w jakiś sposób uatrakcyjni tych kilku lub kilkunastu pożał się boże kawalerów w miasteczku albo odmieni moją cichą nadzieję, że nie skończę jako żona rzeźnika Claude'a lub Henriego z uschniętą ręką? Czy wierzysz, że halka może nam zrekompensować tak mizerny wybór?*

*To ja już wolę samą różę.*

Ojciec nie rozumiał nic z tych rzeczy. Był jedynie zaskoczony i rozczarowany skromnością prośby najstarszej córki. Od dawna oszczędzał na tę podróż, wreszcie znalazł potencjalnego kupca na swoją rewolucyjną dojarzkę mechaniczną, nareszcie stał się kimś, kto wybiera się do miasta na umówione spotkanie, rozkoszował się myślą o powrocie z podróży obładowany skarbami niczym radża.

*Nic więcej nie chcesz, córko?*

*Nie.*

*Na pewno? Nie będziesz się czuła zawiedziona, gdy Cheri i Madeline będą przymierzały nowe suknie?*

*Nie. Będę się cieszyć ze swojej róży.*

Nie było sensu przekonywać go, że Cheri i Madeline są bezmyślne, że gałganki, które im przywiezie, włożą najwyżej parę razy, na bal w miasteczku, a potem trzeba je będzie poskładać i schować do szuflady, gdzie od czasu do czasu będą je oglądać z nostalgią, uwiązane w domu przez mężów i dzieci, ale wtedy te jedwabie i krynoliny, podziurawione przez mole, i tak nie będą już się nadawać do noszenia.

A więc jedna jedyna róża dla Pięknej. Dla tej, która była właścicielką bardziej przenikliwego i mniej sentymentalnego umysłu niż jej siostry. Dla tej, która wiedziała, że nie ma sensu kupować czegoś, czego jeszcze nie posiada, bo potrafiła doskonale wyczytać swoją przyszłość w upstrzonych łajnem ulicach miasteczka, w lubieżnych uśmiechach młodego kominiarza lub pełnym wyczekiwania milczeniu syna młynarza.

W porządku więc. Jeśli chce róży, dostanie różę.

W drodze powrotnej z miasta (spotkanie z potencjalnym kupcem nie przyniosło spodziewanych rezultatów) ojciec zatrzymał się pod zamkiem otoczonym bujnym ogrodem. Musiał przecież zerwać różę rosnącą blisko miasteczka, w przeciwnym razie miałby dla Pięknej jedynie kikut łodygi z kilkoma zwiędłymi liśćmi.

Utyskując pod nosem, zdenerwowany przewrotną i podszytą niechęcią skromnością swojej córki (lecz także zadowolony, że w odróżnieniu od prezentów dla jej sióstr, na ten nie będzie musiał wydawać pieniędzy, których, o czym niedawno się dowiedział, miał ostatecznie nie zarobić), zerwał różę z wyjątkowo dorodnego krzewu. Jedną z tysiąca.

Niewłaściwy zamek. Niewłaściwy krzew.

Z ukrycia wyskoczyła bestia. Miała prawie dwa i pół metra wzrostu, skrzyżowanie wilka i lwa, o błyszczących oczach z morderczym wejrzeniem i gęsto porośniętych futrem ramionach grubszych niż on sam w pasie. Bestia wydawała się jeszcze groźniejsza przez to, że była ubrana w koszulę z żabotem i kamizelkę.

Kradzież róży to przestępstwo karane śmiercią, oświadczył potwór. Podniósł łapę niby bukiet sztyletów. Miał na początek zedrzyć intruzowi twarz, a potem zająć się resztą.

*Panie, proszę, to róża dla mojej córki!*



*Kradzież to kradzież.*

Wyobraźcie sobie głos, który brzmi jak kosiarka do trawy na żwirze. A o oddechu bestii lepiej w ogóle nie myśleć.

*To najśliczniejsza i najbardziej niewinna dziewczyna na świecie. Zapropnowałem, że kupię jej, czego tylko sobie zażyczy, a ona poprosiła o różę, nic więcej.*

Na dźwięk tych słów bestia znieruchomiła.

*Mogła dostać cokolwiek, a poprosiła o różę?*

*To niezwykła dziewczyna. Kocham ją nad życie.*

Bestia opuściła łapę i wepchnęła ją zdecydowanym ruchem do kieszeni kamizelki, jak gdyby nie chcąc pozwolić, żeby zaatakowała samowolnie.

*Wracajże więc do domu. Pożegnaj się z córką. Zawieź jej różę. A potem wróć, żebym mógł wymierzyć ci karę.*

*Tak uczynię.*

*Jeśli jutro o tej porze jeszcze cię tu nie będzie, wytropię cię i zabiję, ale najpierw ukatrupię twoje córki.*

Bestia odwróciła się i wielkimi krokami, na nogach mocarnych i potężnych jak u bizona, oddaliła się do zamku. Ojciec, ściskając różę, wskoczył na konia i odjechał.

Gdy dotarł do domu, opowiedział córkom, co się wydarzyło, i oznajmił, że z samego rana ruszy w drogę, żeby dać się bestii obedrzeć ze skóry.

Młodsze córki zapewniały go, że to tylko blef. Przecież to niemożliwe, żeby bestia wiedziała, gdzie mieszkają. To pewnie jeszcze jeden klasyczny psychopata. Groźby łatwo się rzuca, a bestia pewnie już uległa innym halucynacjom. Najprawdopodobniej w tym właśnie momencie zastanawia się, kto taki wyszeptuje nieprzyzwoitości z kuchennej szafki albo dlaczego meble ciągle się przestawiają.

*To co, tатku, pokażesz wreszcie, co nam przywiozłeś z miasta?*

*Ach tak, oczywiście...*

I sięgnął po pakunki do sakwy przy siodle.

Tylko Piękna wiedziała, że bestia ich odnajdzie i zamorduje. Tylko Piękna rozumiała, co może znaczyć pojedyncza róża, jakie czyny może sprowokować, jeśli się żyje bez nadziei. Jeśli jest się bestią zamkniętą w zamku lub dziewczyną uwięzioną w prowincjonalnym i niezbyt zamożnym miasteczku.



I tak, gdy wybiła północ, a ojciec i siostry smacznie spali, Piękna wymknęła się do stajni, dosiadła ojcowskiego konia i rozkazała mu, by ją zawiózł do zamku bestii. Koń, sam będąc bestią pewnego rodzaju, spełnił jej rozkaz nader chętnie.

Wyglądało to na akt najwyższego poświęcenia. Nie była to nieprawda. Ale prawdą było też, że cokolwiek miało ją spotkać z rąk bestii, Piękna wolała to, niż kolejny dzień wypasania gęsi, kolejny wieczór wyszywania.

Było też prawdą, że liczyła na przyjazd ojca, gdy ten obudzi się o świcie i zobaczy, że zniknęła. Prawdą było, że wyobrażała sobie sceny, w których ojciec ściera się z bestią – ojciec będący bestią jej dzieciństwa, olbrzymi i włochoaty, a także ostentacyjnie dobrotliwy i łagodny, chociaż ona, niezaślepiąca naiwnością swoich sióstr, rozumiała, ile go kosztuje powstrzymanie się przed pewnymi czynami, których jakże łatwo mógł się dopuścić pod nieobecność matki dziewczynki, spoczywającej bezpiecznie pod krzyżem na przykościelnym cmentarzu.

Gdy koń wiozł ją do zamku przez pogrążone w nocnych ciemnościach pola i rozcykane mokradła, Piękna rozmyślała o pojedynku, który mógł się rozegrać z jej powodu. Czerpała pewną przyjemność (nie ma sensu zaprzeczać) ze spekulacji, kto ją zdobędzie – ojciec czy demon.

Ojciec był w istocie wstrząśnięty, gdy nastał nowy dzień i okazało się, że jego najstarsza córka odjechała do zamku bestii. Mimo to nie był w stanie odpędzić od siebie myśli, że jej prośba o różę była nie tylko przyczyną wszystkich kłopotów, lecz także, na swój sposób, ukrytą formą próżności. Piękna chciała być tą czystą i nienaganną. A to trąciło świątobliwą pychą zakonnicy.

Decyzja o tym, by pozwolić córce go zastąpić, miała już zawsze prześladować ojca. Ale taką decyzję podjął. Z czasem wynajdywał coraz to nowe powody, by winą obarczać córkę. Ze swoistą przyjemnością wtapiał się w obraz siebie jako człowieka strasznego, bez serca, a z czasem przekonał się, że łatwiej mu być właśnie kimś takim.

Odkąd Piękna przybyła do pałacu bestii, spotykała się z nienagannym traktowaniem.

Posiłki same się przed nią rozstawiały, kominki rozbłyskiwały wesoło ogniem, gdy wchodziła do komnat. Wyrastające z gipsowych ścian dziecięce ręce podsuwały rozświetlone kandelabry, prowadząc ją przez mroczne korytarze.

Potrzebowała niespełna dwóch dni, żeby zrozumieć, że ojciec nie zorganizuje wyprawy ratunkowej, że jest wdzięczny za ocalenie, że bezpieczna starość z dwiema z trzech córek (mógł liczyć na to, że będą pielęgnować jego obolałe stawy i zastanawiać się, czy potrzebuje kolejnej poduszki) wydała mu się nie najgorsza.

Piękna zamieszkała więc w zamku z bestią.

Potwór zawsze zachowywał się uprzejmie i łagodnie. Niewinna dziewczyna nie była zmuszana do zwierzęcego seksu w olbrzymim łożu, w którym sypiała sama. Nie musiała nadziewać się na jaskrawoczerwony pał półmetrowego członka, nie czuła na sobie jęzora wodzącego po niej w sposób bardziej żarłoczny niż zmysłowy, nie stała się obiektem pożądania, które w żaden sposób nie dbało o jej rozkosz.

Oczywiście czuła ulgę. Ale też, chociaż trudno jej się było do tego przed sobą przyznać, w jakiś mroczny i tajemny sposób czuła się rozczarowana.

Noce i dni nabrały dziwnej, acz wyraźnej regularności. Za dnia bestia zajmowała się swoimi sprawami w odległych zakątkach zamku. Wieczorem, dotrzymawszy Pięknej towarzystwa podczas kolacji, potwór krążył po zamkowych korytarzach, mamrocząc coś do siebie, aż nadchodziła pora, aby pognać do lasu, rozplatać gardło jelonkowi lub dzikowi i pożreć zwierzę.

Piękna wiedziała o tym tylko dlatego, że pewnej bezsennej nocy wyjrzała akurat przez okno swojej sypialni. Potwór wierzył, że zabija zwierzęta w tajemnicy. Nie spodziewał się po niej zrozumienia, iż on – tak jak wszyscy – cierpi, lecz także, jak wszyscy, musi jeść.

Był i nie był taki, jakim go sobie wyobrażała. Oczywiście przewidywała, że będzie dziki, niebezpieczny i cuchnący. Nie spodziewała się natomiast tej animalnej, lecz rycerskiej schematyczności.

I choć Piękna, co zaskakujące, była rozczarowana nieskazitelnymi manierami bestii, jej dyskrecją co do swych bardziej wstydliwych nawyków, z czasem zaczęła darzyć monstrum łagodnym, acz niegasnącym uczuciem. Nie była to słabość do

smrodu rodem z ogrodu zoologicznego – odchodów zmieszanych z furią – jakiego żadna woda kolońska nie byłaby w stanie zabić, ani do widoku pazurów większych niż gwoździe dachowe, którymi potwór z trudem utrzymywał puchar do wina. Polubiła tę jego determinację, żeby okazywać jej dobroć i delikatność, być szczodrym i lojalnym, jak gdyby była żoną od dawna poślubioną mężczyźnie, którego opuściły cielesne żądze, a razem z nimi młodzieńcza pewność siebie, ale który nade wszystko boi się utraty uczucia żony, gdy ta kolejne lata spędza z jego łagodniejszą wersją. Piękna zaczęła żywić uczucia wzbudzone delikatnością, jaką narzucał sobie potwór, wdzięcznością dostrzegalną w jego nieludzkich oczach, gdy na nią spoglądał, stanem beznadziejności, jakim było jego życie, a któremu on odważnie stawiał czoło.

Wreszcie po wielu miesiącach następujących po sobie identycznych dni i nocy – wykonywanych w roztargnieniu robótek ręcznych z braku innego zajęcia, kolacji, podczas których nie było o czym rozmawiać – potwór kazał jej wracać do domu. Zwalił się przed nią na kolana niczym łoś pokłuty strzałami i oznajmił, że nie powinien był jej u siebie przetrzymywać, że poddał się jakiemuś urojeniu o sile miłości, ale tak naprawdę co właściwie sobie wyobrażał? Naprawdę wierzył, że taka śliczna dziewczyna, ściągnięta tu wbrew własnej woli, jest w stanie pokochać bestię? Najwyraźniej namieszały mu w głowie różne bajki o pannach kochających zniekształcone i odrażające maskary. Nie próbował się zastanawiać, czy w takich przypadkach nie jest coś nie tak z samymi dziewczynami.

Piękna nie umiała znaleźć słów, by mu przekazać, że gdyby był mniej uładzony, gdyby skonfrontował ją z bardziej drapieżnym wydaniem siebie, może by im się udało. Dziwiła się w duchu, dlaczego tylu mężczyzn zdaje się uważać, że serce kobiety zdobywa się potulnością.

Ale między nią a bestią nie zawiązał się zwyczaj szczerzej wymiany myśli i było za późno, żeby teraz próbować. Skorzystała z okazji i opuściła zamek. Przykro jej było rozstawać się z potworem, ale nie była się w stanie skazać na tę panięską przyszłość, na znudzenie, brak wyzwania, zamknięcie w zamku – bez względu na to, jak komfortowo by jej się żyło, gdy ogień sam się rozpala, a posiłki same wyjeżdżają na stół – przyszłość, która zapewniała jedynie towarzystwo potwora

ogarniętego obsesją na punkcie własnych grzechów. Zostawiła go, bo choć w zamku bestii życie było wygodne, w istocie nie różniło się zbyt od egzystencji, którą wiodła w domu.

Gdy jednak wróciła do rodzinnego miasteczka, ze zdziwieniem skonstatowała, że wcale się nie czuje, jakby wracała do domu. Owszem, ucieszyła się, że znowu widzi ojca i siostry, ale to wciąż był ten sam ojciec, który nie przyjechał za nią do zamku potwora, żeby stoczyć o nią bój. Jej siostry powychodziły za mąż, wydając się za tych, co byli im przeznaczeni – za kamieniarza i kupca żelaznego, mężczyzn mocno przyziemnych, którzy wykonywali swoją pracę bez utyskiwań, ale i bez entuzjazmu, którzy lubili, żeby kolacja była podana punktualnie o szóstej po południu, i którzy podchmieleni wracali późno z gospody i zabierali się do płodzenia nowych dzieci. Młodsza siostra Pięknej miała już dwoje, a najmłodsza karmiła pierwsze, drugie zaś było w drodze.

Najbardziej zaskakujące było jednak to, że pod nieobecność Pięknej najwyraźniej ucierpiała jej reputacja.

Chociaż prawdziwa historia o jej pobycie w zamku bestii się nie rozeszła, nikt nie uwierzył w ojcowską bajkę o nagłym wstąpieniu córki do klasztoru. Mieszkańcy miasteczka doszli zgodnie do wniosku, że figlowała pewnie w jakimś odległym, obcym miejscu, a gdy w końcu znudziła się hrabiemu albo księciu, ktokolwiek to był, albo gdy za bardzo się opatrzyła, żeby pozostać główną atrakcją lupanaru, ubzdurała sobie, że może ot tak po prostu wrócić w rodzinne strony, jak gdyby nigdy nic. Teraz, gdy Piękna znów zamieszkała u ojca, nawet garstka wolnych wciąż mężczyzn (piekarz ze skłonnością do nieprzewidywalnych ataków furii, hodowca królików z zezem i nerwowym tikiem) – nawet te żałosne indywidua z niechęcią patrzyły na dziewczynę, której przeszłość ewidentnie wymagała mistyfikacji.

W końcu pewnej nocy (wyjaśnienia byłyby krępujące) Piękna wymknęła się z domu, dosiadła konia i pogalopowała z powrotem do zamku. Tam przynajmniej była chciana. Przynajmniej była kochana. Przynajmniej bestia nie sądziła, że Piękna ma powody do wstydu.

Gdy jednak dotarła na miejsce, zamek był pusty i ciemny. Potężne wrota udało się odemknąć dość łatwo, ale świeczniki na ścianach nie zapalały się same, gdy szła

korytarzami. Twarze cherubinów na gzymsach były jedynie rzeźbionym, nieżywym drewnem.

Odnalazła bestię w ogrodzie, który zarósł chwastami i zdziczał – gałęzie wyrastały z żywopłotów jak paniczne, irracjonalne myśli rodzące się w głowie. Fontanna wyschła i cała popękała, pokrywając się siateczką cienkich, włoskowatych linii.

Tam, na płytach chodnikowych przed wyschniętą fontanną, leżała bestia.

Piękna klękła przy niej. Chociaż potwór był zbyt osłabiony, żeby coś powiedzieć, dostrzegła błysk w jego żółtych oczach.

Ujęła w swe drobne dłonie jego łapę i podniosła ją z wysiłkiem. Powiedziała mu cicho, jak gdyby zdradzając sekret, że dopiero po ich rozstaniu uzmysłowiła sobie, że go kocha. Nie kłamała; nie do końca. Rzeczywiście w pewnym sensie go kochała. Było jej go żal, było jej też żal siebie, opłakiwała ich oboje – dusze, które tak łatwo i tak całkiem przez przypadek się zagubiły.

I gdyby mógł ozdrowieć, gdyby można go było wybawić od śmierci...

Z lubością wyobrażała sobie, jak dumnie odwraca się od tych prostaków z miasteczka, które nie raczyły obdarzyć jej względami, delectowała się myślą o tym, jak mówi „nie” piekarzowi, hodowcy królików i staremu wdowcowi o zmętniałym spojrzeniu, którego okazały niegdyś dom zaczynał się przechylać na fundamentach, bombardując rynek dachówkami.

Zostanie wybranką bestii. Zamieszka w zamku. Nie będzie się przejmować szeptami starych bab i plotkarzy.

Szepnęła cicho do włochatego ucha potwora, które było większe niż rękawica baseballowa, że jeśli odzyska zdrowie, jeśli zdoła się podnieść, ona go poślubi.

Na efekty tych słów nie trzeba było długo czekać.

Bestia skoczyła na nogi z iście lwim wigorem. Za nią z fontanny znów trysnęła woda.

Piękna cofnęła się o krok. Bestia spoglądała na nią z uwielbieniem. Patrzyła na dziewczynę z wdzięcznością, której widok był cudowny, ale i w pewien sposób przerażający.



Po krótkiej chwili skóra na ciele potwora popękała jak kokon poczwarki. Odpadły pazury i kły. Wyparował zwierzęcy fetor.

I oto stoi przed nią.

Zachwycający. Postawny, z kanciastą szczęką, prężny i muskularny.

Książę stoi w plątaninie zrzuconego futra, między rozsypanymi na płytach chodnika pazurami. Ze zdumieniem ogląda przywrócone mu ciało. Zaciska ludzkie dłonie, testuje atletyczną sprężystość nóg, które nie są już krzywe i zakończone szponami.

Czar prysł. Czyżby Piękna podejrzewała taki finał od samego początku? W przyszłości będzie igrać z myślą, że wszystko przewidziała, że była dziewczyną, która rozszyfrowała mechanizmy zaklęcia, ale nigdy nie będzie miała co do tego pewności.

Czeka bez tchu, w ekstazie, aż świeżo wyczarowany książę pojmie ją w ramiona. On jednak wpierw musi zerknąć na swoje odbicie w wodzie, która już się marszczy we wskrzeszonej fontannie.

Udało mu się. Dał radę. Skłonił śliczną kobietę, by ślubowała wierność duszy ukrytej – dla każdego prócz niej – za zasłoną szpetoty.

Błada pierś Pięknej faluje w niecierpliwym wyczekiwaniu.

Książę odwraca się powoli od swego odbicia, posyła jej lubieżny, zwierzęcy uśmiech – uśmiech pazerny i pożądlivy. Chociaż jego twarz jest nad wyraz urodziwa, coś w niej nie do końca się zgadza. Oczy pozostają dzikie. Wydaje się, że zęby są wciąż zdolne rozszarpać gardło jelenia. Mógłby być właściwie młodszym, przystojniejszym (dużo przystojniejszym) bratem bestii, jak gdyby jego rodzice spłodzili najpierw zdeformowane, a potem piękne dziecię o idealnych proporcjach.

Piękna nagle zaczyna się zastanawiać. Czy to możliwe, że zaklęcie miało dawno temu posłużyć jako rodzaj pancerza? Czy księcia uwięziono w powłoce potwora z jakichś dających się odgadnąć powodów?

Cofa się. On, ze zwycięskim uśmiechem i cichym pomrukiem triumfu, postępuje w jej stronę.

# JEJ WŁOSY

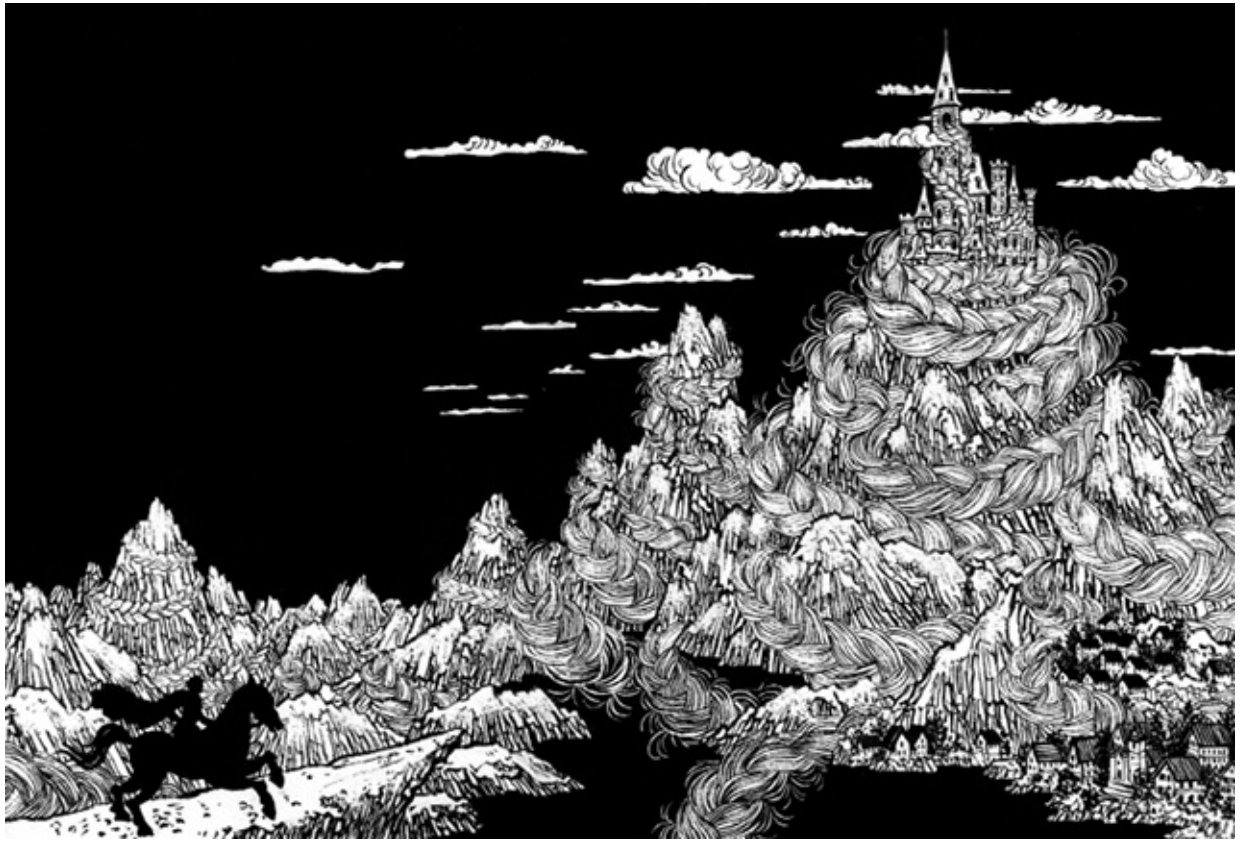
**G**dy już czarownica zrozumiała, co się święci...  
gdy już obcięła Roszpunce włosy...

gdy już księżę runął z wieży na ciernisty krzew, który wykłuł mu oczy...

wędrował po świecie na grzbiecie swego konia, próbując ją odszukać. Zabrał ze sobą jedynie rumaka. Tylko jego.

Pukał do tysięcy drzwi. Przemierzał ulice miasteczek i wiejskie drogi, wołając jej imię. A brzmiało ono tak kuriozalnie, że wieśniacy i farmerzy, których mijał, uznawali go za obłąkańca. Nigdy nie przyszło im do głowy, że może naprawdę kogoś szukać.

Niektórzy byli pomocni: *Przed tobą rzeka, uważaj na urwisko*. Inni rzucali w niego kamieniami, a jeszcze inni smagali różgami zad chudej szkapy.



Nie poddawał się. Prowadził poszukiwania przez cały rok.

Aż w końcu ją znalazł...

znalazł ją w pustelni, do której wygnała ją czarownica...

znalazł ją tam, gdzie żyła samotnie za zasłonami powiewającymi w pyłowych wirach, pośród much, których było więcej niż piasku...

Rozpoznała go w chwili, gdy otworzyła drzwi, choć wtedy był już zmieniony nie do poznania, blady, cały w ranach, w łachmanach na grzbiecie.

I jeszcze te puste czarne oczodoły wielkości kruczych jaj, gdzie kiedyś znajdowały się jego oczy.

Szepnął tylko „Roszpunka”. Słowo, które wypowiedział już z tysiąc razy pod tysiącem drzwi, skąd tysiąc razy go odegnano, brutalnie lub łagodnie, niczym obłąkanego nędzarza, jakim się stał. Zrozumiał, jak cienka jest granica między księciem w trakcie królewskiej misji a bezokim wędrownym pomyłeńcem, który nie ma do zaoferowania nic prócz tego jednego niezrozumiałego słowa.

Poznał na własnej skórze, co znaczy żyć z piętnem obłądu; ten, który rok wcześniej z takim majestatem, silny i śmiały, wspinał się po sznurze splecionym ze złocistych włosów.

Gdy wreszcie stanął pod jej drzwiami, wyczuł bowiem obecność domu i trafił tu po omacku, dotykając szorstkich desek, aż znalazł się na progu...

Gdy wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego pokrytej strupami, zakrwawionej dłoni, on rozpoznał jej palce, zanim jeszcze dotknęły jego skóry, tak jak pies wyczuwa nadejście pana, gdy ten jest dopiero przy następnej przecznicy. Wydał z siebie dziki jęk, który mógł oznaczać albo ekstazę, albo nieznośny ból, jak gdyby istniał dźwięk, który jest w stanie wyrazić jedno i drugie równocześnie.

Nie mógł się rozplakać. Nie miał czym.

Zanim wyruszył z Roszpunką z powrotem do swego zamku, ona przeprosiła go na chwilę, pobiegła z powrotem do pustelni i wyciągnęła z komody swoje włosy, które przechowywała w szufladzie przez cały miniony rok, zawinięte w bibułę, bezpiecznie ukryte jak rodzinne srebro.

Nie spojrzała na nie ani razu, odkąd wygnała ją czarownica.

A jeśli straciły kolor i blask...

a jeśli zagnieździło się w nich robactwo...

a jeśli po prostu wyglądają... martwo... niczym eksponat w jakimś małym lokalnym muzeum...

Ale nie, wyciągnęła dwa sześciometrowe rudawe warkocze, splecione, lśniące i zdrowe jak dobrze odżywiony kot.

Wsunęła włosy do torby, nim ruszyła z księciem w drogę.

Mieszkają teraz w zamku. Co noc książę leży obok niej i gładzi jej włosy, które Roszpunka trzyma przy łóżku...

które myje i skrapia perfumami...

które wyciąga dyskretnie, gdy książę odnajduje drogę do łóżka.

Książę wtula twarz w jej włosy. Czasem Roszpunka się dziwi – dlaczego książę nie pyta, jakim cudem te włosy nadal rosną na jej głowie? Nie widział, jak czarownica je obciąła? Chyba sobie nie wyobraża, że odrosły w rok?

Ale książę wciąż, z bezoką twarzą zatopioną w jej włosach, wydaje z siebie (choć coraz rzadziej) ten straszny jęk, ten lament objawienia i straty, ten dźwięk lękliwy jak miauknięcia kotka, acz głośny jak warknięcie lamparta.

Najwidoczniej zapomniał albo woli nie pamiętać. Roszpunka z kolei nigdy mu nie przypomina, że te włosy nie są już dołączone...

nigdy mu nie przypomina, że nie jest to już coś żywego...

nigdy mu nie przypomina, że są wspomnieniem, które ona pielęgnuje, które zachowuje w teraźniejszości – dla niego.

Po co mu o tym mówić?



# DŁUGO / SZCZĘŚLIWIE

**D**awniej, przed laty, w zamku na wzgórzu, pod niebem rozjaśnionym lazurem morza w porcie, żył sobie królewicz. Na zboczu wzniesienia, między zamkiem a portem, rozciągało się miasteczko, w którym stolarze wytwarzali cieszące się wielkim wzięciem stoły i krzesła, piekarze zaś wypiekali chleby i ciasta, po które zjeżdżali się amatorzy z bliska i daleka. Codziennie rano miejscowi rybacy wyciągali pełne sieci, błyszczące srebrzyście, i codziennie wieczorem w powietrzu rozchodził się zapach pieczonych na ogniu ryb. Uliczkę biegnącą wzdłuż portu rozświetlały kawiarnie i gospody, z których dolatywały muzyka i śmiech, niosąc się łagodnie z wiatrem przez miasteczko i dalej, do lasu, gdzie od czasu do czasu przystawały zające i bażanty, nadstawiając uszu.

Gdy książę skończył lat osiemnaście, ożeniono go z księżniczką z pobliskiego, mniej zamożnego królestwa, królestwa w głębi lądu nad wyschniętą od wieków rzeką, gdzie sucha gleba rodziła jedynie kapustę, pasternak i inne tego typu sycące, acz niezbyt wyszukane warzywa, gdzie wszystkie kawiarnie zamykano przed dziewiątą wieczorem, a miejscowi rzemieślnicy wytwarzali jedynie drapiące, grube koce i swetry z wełny, które optymistycznie uważano za najlepszą ochronę przed mroźnymi wiatrami wiejącymi od strony lodowca na szczycie góry.

O rękę księżniczki starał się ojciec królewicza, nie chcąc dopuścić, żeby pewnego dnia królestwo księżniczki przysłało z łukami i mieczami swoich wojów – wychudłych i słabowitych na tak lichej diecie, ale tym bardziej niebezpiecznych z racji odwiecznego poczucia nędzy – i ogłosiło, że zielona i zasobna kraina nad

portem należy teraz prawowicie do nich.

Ojciec księżniczki wyraził zgodę, po części dlatego, że nie wierzył specjalnie w potencjał swej wygłodniałej i smętnej armii, a po części dlatego, że wspomniana księżniczka, najstarsza z jego trzech córek, najskromniej obdarzona przez naturę tradycyjnymi walorami, w wieku dwudziestu dwóch lat, nie dostała dotąd innej propozycji małżeństwa, a prawo nakazywało, że musi się wydać w pierwszej kolejności, zanim zezwoli się na zamążpójście młodszym siostrom, obu (król odbierał to jako ponury żart losu) gibkim i uroczym.

Małżeństwo początkowo nie należało do udanych. Królewicz uznawał swoje obowiązki i je wykonywał. Podobnie księżniczka. Księżniczka, piękna inaczej, nie łudziła się co do tego, jak doszło do zawarcia owego matrymonium, jak została narzucona mężowi, który – w co wierzyła – po pobieżnym wywiązaniu się z małżeńskich powinności będzie się oddawał prawdziwej miłosnej pasji w towarzystwie pokojówek, księżnych, a od czasu do czasu jakiejś ladacznicy sprowadzonej po kryjomu z miasta.

Jak się okazało – myliła się.

Chociaż podczas ślubu (który był jednocześnie okazją do pierwszego spotkania) i niedługo potem sprawiał na niej wrażenie fałszywego pozera, szybko się okazało, że ów królewicz, którego nie poinstruowano odpowiednio, jak być królewiczem (*Trzymaj głowę trochę wyżej, nie, nie aż tak wysoko; mów władcym tonem... Nie, to nie znaczy, że masz krzyczeć...*), nie jest, czego się obawiała, przewrotnie pewny siebie pomimo braku wielu umiejętności. Był urodziwy, dużo bardziej niż ona, ale to była mleczna, efemeryczna, łzawa uroda. Należał do tych delikatnych młodzieńców, o których, zanim stuknie im pięćdziesiątka, inni będą szeptać zaaferowanym tonem z nutą satysfakcji: „Nie uwierzycie, jaki on był kiedyś śliczny”.

Ale to nie koniec niespodzianek... był tak nerwowy, tak lękliwy, że nie widział siebie w roli króla, chociaż to, że wstąpi na tron, było nieuniknione jak sama śmierć. Z tego wszystkiego zwierzył jej się natychmiast w noc poślubną. Widocznie nie przyszło mu do głowy, że lęk można przemilczeć, niepokój zamaskować.

On również początkowo był nią rozczarowany, ale i ona szybko go zaskoczyła.

Gdy pojawiła się przed nim po raz pierwszy, w dzień ślubu, suknia panny młodej, choć pomysłowo skrojona, nie zdołała ukryć jej przysadzistej postaci, wielkiej kopuły czoła ani niekształtnego apostrofu nosa. Równie dobrze mogła być barką płynącą przez główną nawę katedry, sterowaną przez ojca z niezachwianą kupiecką determinacją. A więc tę twarz, te męskie ramiona i te szerokie biodra miał oglądać codziennie przez resztę życia.

A jednak w noc poślubną, gdy nareszcie zostali sami w królewskiej sypialni... powiedzmy jedynie, że to niemożliwe, by księżniczka była dziewczicą zgodnie z wymogami tradycji i nakazów przyzwoitości. Niemożliwe, żeby sama, bez wcześniejszego przeszkolenia, wpadła na takie sztuczki. Kto wie, ilu chłopców stajennych, ilu paziów pchnęła wcześniej na belę siana albo na ustronny trawnik?

Spodobały mu się nie tylko własne cielesne objawienia – jemu, który w rzeczy samej był pod tym względem tak czysty, jak powinna być ona – lecz także dowody świadczące o tym, jak bardzo jego żona była w przeszłości niegrzeczna. Podobał mu się też widok jej nagości, gdy oglądał ją po raz pierwszy. Ciało miała krępe, ale jędrne, całe w krągłościach, z białymi, satynowymi wzniesieniami. Tamtej pierwszej nocy objaśniała mu bez żadnego skrępowania, co ma robić, a on, jako ten niedoświadczony, radośnie stosował się do jej poleceń – on, który w przyszłości miał wydawać rozkazy, ku któremu inni mieli spoglądać pytająco, wyczekująco, aż podejmie decyzję, każdą decyzję, za każdym razem.

Król zmarł niedługo potem, stratowany na polowaniu przez tego samego konia, którego uważał za swego najbardziej oddanego kompana. Królewicz, ku swemu przerażeniu, został koronowany trzy tygodnie przed dziewiętnastymi urodzinami.

Księżniczka poddawała się uczuciu do niego z dziwnym wrażeniem bezradności, jak gdyby zarazili się w tym samym czasie tą samą chorobą. Nie mogła się doczekać poranków, kiedy ujrzy go po przebudzeniu zaspanego, ale jakże uroczego (lubił być przytulany przez tych kilka minut, zanim wstanie i odejdzie do swych królewskich obowiązków), lubiła ich nocne rozmowy, gdy już się uporał ze wszystkimi sprawami, rozmowy o wszystkim, od błahostek mijającego dnia do jego słabości do miejscowego poety, niedawno zmarłego, którego wiersze młody król potrafił recytować z pamięci. Była zaskoczona (i, o dziwo, rozczarowana, choć



rozczarowanie szybko minęło), przekonawszy się, że myliła się co do pokojówek i ladacznic, że król co noc zamierzał wracać do ich wspólnego łóża, że nie przestawał się rozkoszować jej gotowością do wydawania rozkazów (*Nie ruszaj się, spokojnie, wiem, że to trochę boli, ale poddaj się temu, ból w umiarkowanej dawce bywa przyjemny...*).

W pierwszych miesiącach po koronacji coraz trudniej było jej przekonać samą siebie, że jest mu obojętna jej inteligencja (była, trzeba przyznać, inteligentna). Stawało się oczywiste, że król ceni sobie jej opinie bardziej niż zdanie doradców (tej, której oficjalnie jedyną rolą było zapewnienie królestwu pokoju i wydawanie na świat następców tronu). Gdy król skończył lat dwadzieścia (a ona dwadzieścia cztery), było już tajemnicą poliszynela, że rządzą królestwem razem, że król codziennie (zgodnie z tradycją) przedstawia decyzje, rzekomo podjęte samodzielnie, do których doszli wspólnie minionej nocy, gdy leżeli w łóżku.

Mijały dziesięciolecia. Urodzili im się syn, córka i drugi syn.

Ich życie i panowanie nie były usłane różami. Wśród poddanych dochodziło do kradzieży, wybuchały spory dotyczące umów, procesowano się o granice majątków, które wytyczono sto lat wcześniej. Żona wytwórcy siekier zakatowała męża jagnięcą kością i gdy aresztowano mężobójczynię, wyznała, że nie chciała pobrudzić żadnego z toporków. Zamkowa pokojówka zaszła w ciążę z paziem, a potem (choć król i królowa by jej nie ukarali) utopiła się w studni. Kucharz bezustannie darł koty z ochmistrzynią i każde z nich co tydzień, przez prawie trzydzieści lat, składało donosy o nadużyciach i deprawacji swego wroga.

W rodzinie córka, drugie dziecko pary królewskiej, która nie tylko odziedziczyła, ale i zwielokrotniła matczyną tendencję do tycia, w wieku lat dwunastu skoczyła z okna, ale – jako że było to tylko pierwsze piętro – wylądowała bez szwanku na krzewie hortensji. Zdecydowawszy się na ten krok raz, najwyraźniej nie czuła potrzeby, żeby go powtarzać.

Drugi syn, najmłodszy z całej trójki – wiedząc, że nigdy nie zostanie królem – jako siedemnastolatek zbiegł do sąsiedniego królestwa, ale wrócił niespełna rok później, wychudły i obdarty, zasmakowawszy życia barda i trubadura. Przekonał się, że jego mierny talent nie wzbudził większego zainteresowania. Doszedł do wniosku,

że ostatecznie może nadal być księciem, który pisze poezję i występuje okazjonalnie z recitalami na dworze.

Starszego syna podejrzenie nie miały się żadne troski. Był rośli i dzielny, pewny siebie, acz bez śladu arogancji, nie mógł się jednak poszczycić szczególnie wnikliwym tudzież głębokim umysłem i bywały chwile, kiedy rodziców ogarniały wątpliwości co do jego królewskich kompetencji, gdy nadejdzie dzień próby.

Chociaż król i królowa nie przestawali martwić się o swoje dzieci, starszy syn pozostawał lojalny i oddany sprawom królestwa, a gdy skończył dwadzieścia lat, jego aparycja nabierała coraz wyraźniej znamion królewskość. Młodszy syn ożenił się z niezbyt urodziwą, za to bystrą księżniczką z dalekiego królestwa, i pisał tomy wierszy dla żony, która uważała go za geniusza, niedocenionego przez współczesnych, ale mogącego na pewno liczyć na uznanie potomności. Córka nie wyszła za mąż (choć pojawiły się propozycje), stała się natomiast mistrzynią łucznictwa, myślistwa i żeglarstwa, czerpiąc ogromną radość ze wszystkiego, w czym osiągnęła taką wprawę.

Smutki i problemy nie ominęły samej królewskiej pary. W mocno zaawansowanym wieku średnim król wmówił sobie, że zakochał się w potwornie głupiej, lecz majestatycznie łagodnej księżnej o efemerycznie bladej, księżycowej twarzy, i potrzebował dwóch tygodni, by się przekonać, że ta kobieta odurza go, owszem, ale i nudzi. Królowa niedługo po epizodzie z księżną wróciła do starych nawyków – rzucała chłopców stajennych i paziów na bele siana i ustronne trawniki, aż ich bezsilna ochoczość i myśli o awansie, które się przebijały przez namiętne pojękiwania, stały się bardziej upokarzające niż satysfakcjonujące.

Król i królowa wrócili do siebie, poobijani, spokorniali i dziwnie rozbawieni swoimi przygodami. Ku obopólnemu zdziwieniu odkryli, że kochają się jeszcze bardziej teraz, gdy zademonstrowali po latach, że ich krew wciąż potrafi się wzburzyć.

Mówiła mu od czasu do czasu: *Chudnę i staję się coraz bardziej przebiegła, uczę się ronić ukradkiem łzy, gdy śpiewa słowik.*

Mówił jej od czasu do czasu: *Ujeżdżanie mnie okrakiem wcale nie wyniesie cię wyżej. Jesteś pewna, czy ten wysiłek ci się opłaca?*

Co (ku zdziwieniu obojga) zawsze ich rozśmieszało.

Wreszcie, gdy minęło kolejnych kilkadziesiąt lat i król był umierający, królowa dyskretnie wszystkich odprawiła, zamknęła drzwi królewskiej sypialni i położyła się w łóżu obok męża. Zaczęła mu śpiewać. Śmiali się. Brakowało mu tchu, ale wciąż mógł się śmiać. Pytali siebie nawzajem: Czy to nie jest niemądre? Czy to nie... pretensjonalne? Oboje jednak wiedzieli, że wszystko, co było do powiedzenia, zostało już powiedziane, wielokrotnie, przez te wszystkie lata. Tak więc król, z ulgą i poczuciem swobody, ciesząc się, że może sobie pozwolić na niemądre zachowanie, poprosił ją, żeby mu zaśpiewała piosenkę z dzieciństwa. Nie musiał się już silić na królewskość, nie musiał sprawiać wrażenia władczego ani dostojnego, nie przy niej. W pewnym sensie umierali razem i oboje o tym wiedzieli. To nie spotykało tylko jego. Zaczęła więc śpiewać. Zazartowali razem po raz ostatni – zgodzili się, że ich kot ma lepszy głos od królowej. Mimo to śpiewem odprowadziła go na tamten świat.

Gdy umierała królowa, wiele lat później, w komnacie zebrały się dwadzieścia trzy osoby, nie licząc trzech kotów i dwóch psów. Jej dzieci i ich dzieci, i dzieci ich dzieci, trzy służące, dwóch paziów (młodszy i starszy, kochankowie, o czym wszyscy od dawna wiedzieli, ale respektowali ich sekret) oraz kucharz i ochmistrzyni (którzy najnowsze donosy złożyli zaledwie kilka tygodni wcześniej). Zwierzęta – psy i koty – leżały w łóżku przy królowej, natomiast ludzie skądś wiedzieli, że winni zachować dystans, oprócz Sophii, najstarszej służącej, która zwilżała czoło królowej chusteczką.

Zebrani nie stali w ciszy ani nabożnym skupieniu. Jedno z niemowląt grymasiło. Jeden z psów warczał na kota. Ale królowa, która zdążyła się już roztyć do gigantycznych rozmiarów i była blada jak mleko, rozglądała się po wszystkich otaczających ją istotach, ludzkich i zwierzęcych, z pełnym współczucia smutkiem, jak gdyby to oni żegnali się z życiem, nie ona.

Chwilę przed tym, nim wydała ostatnie tchnienie, jeden z wnuczków zwrócił się do drugiego z pytaniem:

– Wygląda jak planeta, co nie?

– Nie, wygląda jak chora staruszka – odpowiedział ten drugi.

Każdy z nich ucieszył się z dowodu głupoty swojego rozmówcy. Obaj, gdy królowa babka odchodziła w zaświaty, myśleli o własnej obiecującej przyszłości; jeden z nich, bo miał oko i serce poety, drugi – bo nie miał w sobie sentymentalizmu i był wierny. Jeden i drugi wierzył, gdy umierała stara królowa, że zajdą w życiu daleko.

Jak się okazało, obaj mieli rację.

Gdy królowa spoczęła w grobowcu, wszystkim dzieciom wiodło się dobrze. Najstarszy syn, który wcześniej wskutek nalegań matki przejął rządy po śmierci ojca, pozostał sprawiedliwym i łaskawym władcą, a następcą tronu wydany przez jego małżonkę na świat w iście ekspresowym tempie wyglądał już teraz na świetny materiał na kolejnego dobrego monarchę. Zamek nie popękał ani nie popadł w ruinę. Morskie pływy ściągały nowe ławice ryb. Synowie i córki stolarzy wytwarzali stoły i krzesła jeszcze cudowniejsze od tych, które były dziełem rąk ich rodziców, synowie i córki piekarzy wstawiali wcześniej rano, żeby wypiekać świeże ciasta i kołaczki, chleby i muffinki.



Ogólnie rzecz biorąc, panował pokój, chociaż wciąż zdarzały się kradzieże i spory dotyczące umów, synowie i córki wciąż od czasu do czasu uciekali z domu lub tracili głowę; długo chowana uraza wciąż od czasu do czasu przeradzała się w morderstwo.

Przeważały jednak obfitość i łaska. Zawierano małżeństwa, które trwały do śmierci. Obchodzono święta i odbywały się pogrzeby, rodzili się rzemieślnicy i poeci. Wynalazcy wymyślali mechanizmy, które dawały jaśniejsze światło, wykonywały bez skargi co nudniejsze prace albo przechwytywały i zatrzymywały muzykę, choć przez długie lata uważano, że może ona brzmieć tylko wtedy, gdy grają muzycy i śpiewają pieśniarze. W lesie zajęce i bażanty przystawały od czasu do czasu tak samo zaciekawione i zaskoczone na dźwięk muzyki i nie wiedziały (ani ich to nie obchodziło), czy pochodzi ona od żywych muzyków czy tych od dawna martwych. W mieście dzieci – z których wszystkie przyszły na świat długo po złożeniu starego króla i królowej w sąsiednich sarkofagach – wyławiały wśród muzyki i śmiechu dobiegających z kawiarni głos rodziców przywołujący je do domu. Niektóre wracały chętnie, inne szły jak na ścięcie, ale wszystkie dzieci, wszystkie bez wyjątku, co wieczór wracały do domu.

# Spis treści

Karta tytułowa

ROZ.CZAROWANIE

DZIKI ŁABĘDŹ

BABA JAGA

PIĘKNY JAŚ

OTRUTA

MAŁPIA ŁAPKA

KARZEŁ

OŁOWIANY, DZIELNY

BESTIE

JEJ WŁOSY

DŁUGO / SZCZĘŚLIWIE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *A Wild Swan and Other Tales*

A WILD SWAN AND OTHER TALES by Michael Cunningham

Text copyright © 2015 by Mare Vaporum Corp.

Illustration copyright © 2015 by Yuko Shimizu

By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań  
2016

#### Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Michał Pawłowski / [www.kreskaikropka.pl](http://www.kreskaikropka.pl)

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Dziki łabędź i inne baśnie*, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-775-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań



tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

  
[woblink.com](http://woblink.com)